Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
@literatura net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

SKRZYDLACI LUDZIE Z NAZCA

i inne reportaże
z Ameryki Łacińskiej

ROMAN WARSZEWSKI

SKRZYDLACI LUDZIE Z NAZCA

i inne reportaże z Ameryki Łacińskiej

Tower Press
Gdańsk 2000

Projekt okładki
Dariusz Szmidt

Przedmowa
Marek Rymuszko

Ilustracje czarno-białe
ze s. 33, 45, 49, 56, 79, 88 – Roman Warszewski
ze s. 13, 15, 17, 19, 27, 31, 71, 93, 97, 99, 103, 107, 108, 111, 120, 124, 131, 144, 148 – archiwum Autora

Zdjęcia kolorowe
1-32 i 34-41 – Roman Warszewski
33 – archiwum Autora

Na pierwszej stronie okładki wykorzystano zdjęcie
Mylene d'Auriol

Na czwartej stronie okładki wykorzystano zdjęcie
Macieja Kostuna

Opracowanie graficzne
Pracownia Graficzna „Linus"

Skład i łamanie
Jerzy M. Kołtuniak

Redakcja i korekta
Zespół

Wydanie pierwsze

© Copyright by Roman Warszewski & Tower Press
Gdańsk 2000

ISBN 83-87342-21-1

Tower Press
Gdańsk 2000

PRZEDMOWA

Niech nikogo nie zmyli tytuł książki Romana Warszewskiego, którą właśnie bierze do ręki. Dziesięć reportaży, jakie składają się na *Skrzydlatych ludzi z Nazca* tworzy bowiem – śmiem twierdzić – jedną z najważniejszych współcześnie książek faktologicznych dotyczących Ameryki Południowej: jej historii i obecnego oblicza, tajemnic przeszłości i dzisiejszych konfliktów, dramatycznych zdarzeń, jakie często wyznaczają rytm życia tego ciągle mało poznanego regionu świata – i spowijającej go od tysięcy lat magii. Tak, właśnie magii, gdyż nie ma bodaj drugiego kontynentu, z którym wiązałaby się tak wielka liczba zagadek oraz pytań bez odpowiedzi.

Zmierzenie się reporterskim piórem z fenomenologią tego pod każdym względem szczególnego miejsca na Ziemi było możliwe jedynie przy spełnieniu dwóch warunków: dogłębnej znajomości jego realiów oraz biegłego posługiwania się jednym z lokalnych języków. W przeciwnym bowiem razie można tam w mgnieniu oka stracić nie tylko orientację i pieniądze, lecz nierzadko również – i to bynajmniej nie w symbolicznym, a dosłownym znaczeniu – głowę.

Roman Warszewski obu warunkom sprostał. Amerykę Południową, a zwłaszcza Peru i Boliwię penetruje nieustannie już od 17 lat, znając zaś hiszpański oraz indiański

język keczua – zyskał niepowtarzalną szansę samodzielnego wynajdywania klucza do zdarzeń, jakie go frapują. Kluczem tym okazało się także cechujące go „od zawsze" zainteresowanie historią starych kultur Ameryki Łacińskiej oraz konfliktami społecznymi i politycznymi, które nią raz po raz wstrząsają.

Pierwszym dojrzałym owocem tych poszukiwań była wydana przez R. Warszewskiego w połowie lat osiemdziesiątych książka *Pokażcie mi brzuch terrorystki*, stanowiąca chłodny, ale i zdumiewająco dogłębny zapis ówczesnych zmagań władz Peru z lewackimi ruchami zbrojnymi, co chwilami przybierało postać regularnej wojny domowej. Echa tamtych doświadczeń i wędrówek odnajdujemy zresztą również w obecnym tomie, towarzysząc np. autorowi w jego po stokroć niebezpiecznej – i podjętej wyłącznie na własne ryzyko – eskapadzie do zapadłej wioski w peruwiańskim departamencie Ayacucho, gdzie, jak sam pisze, *niczym w kropli wody odbijał się cały wszechświat szalejący dookoła terrorystycznej przemocy* i gdzie niedługo wcześniej doszło do masakry grupy dziennikarzy.

Nie inaczej jest, gdy reporter podąża śladami straceńczej marszruty Ernesto Che Guevary, na zabiciu którego – od początku drąży go takie podejrzenie – zależało nie tylko boliwijskim wojskowym i przekupionym przez nich chłopom, lecz także hawańskim towarzyszom legendarnego rewolucjonisty, obawiającym się, że mit Che niepostrzeżenie przyćmi ich własny wizerunek i zachwieje dyktaturą, za pomocą której Castro i jego ludzie od 40 już lat rządzą niepodzielnie Kubą. Bliższe zainteresowanie tym właśnie wątkiem spowoduje zresztą, iż Warszewski zostanie uznany na Kubie za persona non grata, a zdenerwowanie miejscowej bezpieki sprawi, że przez pomyłkę zostanie przymusowo wydalony samolotem lecącym nie do Europy, lecz Kolumbii. To z kolei umożliwi mu bliższe przyjrzenie się problemowi tamtejszej długoletniej *Wojny*

o kokainę, uwikłanej – o czym nieczęsto się wspomina – w niezwykle skomplikowane konteksty ekonomiczne i społeczne (to jeden z najlepszych reportaży na ten temat, jakie kiedykolwiek czytałem).

Konsekwentne podążanie przez autora własnymi ścieżkami, wyznaczanymi często przez granicę śmiertelnego ryzyka, w ostatecznym rozrachunku zaowocowało tak drapieżnymi, a w pewnym sensie – nie waham się użyć tego określenia – olśniewającymi reportażami, jak obecne w tej książce *Osiem tez, osiem gwoździ, Zakątek śmierci* oraz *Czy przechodził tędy Che*. I nawet, kiedy Warszewski drąży zagadki zamierzchłej historii, nieodmiennie splatające się z problemami współczesnymi regionu – nigdy nie podąża utartymi szlakami. Do obleganego przez turystów z całego świata Machu Picchu – jednego z najbardziej magicznych miejsc na świecie, nie pojedzie, jak inni, wygodnym pociągiem, lecz przywędruje tam na własnych nogach, przemierzając kilkadziesiąt kilometrów przez góry. Od siebie dodam, że zapis wysiłku towarzyszącego pokonywaniu tej drogi to jedna z najlepszych sekwencji pisarskich wieńczących mękę górskich wypraw, o jakich można przeczytać w licznych pamiętnikach. Podobnie będzie wówczas, gdy w 1998 roku pod patronatem miesięcznika „Nieznany Świat" Roman zorganizuje ekspedycję na tajemniczy peruwiański płaskowyż Marcahuasi, o czym opowiada już inna jego książka oraz nakręcony przezeń (razem ze Stanisławą Grzelczak) w tej – wręcz buzującej niepowszednią magią strefie – film.

W gruncie rzeczy nie ma więc większego znaczenia, czy autor odbywa swoje peregrynacje w strefie jeziora Titicaca, po wypalonej słońcem pustyni Nazca czy boliwijskich bezdrożach, w których błocie pogrzebane zostały ideały jeszcze jednej niechcianej rewolucji z importu; rewolucji jaka miała uszczęśliwić miliony ludzi, a w rzeczywistości zgotowała śmierć jej posłańcom. Odwiedzając kolumbij-

ską wioskę Aracataca – miejsce urodzin noblisty Gabriela Garcii Marqueza opisane przezeń w słynnych na cały świat *Stu latach samotności* – autor dokona zarazem rzeczy zdałoby się niemożliwej, ukazując, iż niczym w Kischowskim *lustrze na społecznym gościńcu* odbijają się tam historyczne i współczesne dylematy Ameryki Południowej oraz zamieszkujących ją ludzi. A wszystko to zostało zakomponowane w formie zdumiewająco klarownej, dojrzałej pisarsko opowieści, w której odkrywczość wielu spostrzeżeń i refleksji stanowi konsekwencję dogłębnej znajomości tematów oraz spraw penetrowanych reporterskim piórem.

Nigdy nie ukrywałem, że uważam Romana Warszewskiego za jednego z najwybitniejszych współcześnie polskich reporterów. Byłem o tym przekonany na długo przedtem, nim (razem z Grzegorzem Rybińskim) wydał on swoją głośną *Vilcacorę*, która *leczy raka* i jej późniejszą kontynuację *„Bóg nam zesłał vilcacorę"*. Jestem również szczególnie rad, że wiele południowoamerykańskich reportaży tego autora miało swoją premierę w miesięczniku „Nieznany Świat", którym kieruję i który od lat, dzięki Romanowi, najśmielej spośród wszystkich polskich czasopism uchyla zasłonę spowijającą nieprzeliczone tajemnice Ameryki Południowej. *Skrzydlaci ludzie z Nazca* to, w moim przekonaniu, najważniejsza polska książka reporterska, próbująca opisać i zarazem zrozumieć tamtejszy ciągle tak jeszcze mało znany, a pod wieloma względami również *zaginiony świat*. Mottem dla niej mogłyby być słowa Krishnamurtiego, który powiedział kiedyś, że *Prawda jest bezdrożem bez map i przewodników*.

Marek Rymuszko

Autor przedmowy jest wielokrotnie nagradzanym reporterem i prezesem Stowarzyszenia Krajowy Klub Reportażu.

Jak to nazwać?

Pechem?

Nadmiarem pośpiechu?

Złośliwością rzeczy martwych?

Naprawdę – w gorszym momencie stać się TO nie mogło!

Jak zwykle przed wyjazdem, wszystko się nagle spiętrzyło. Pełno spraw, które należało pozałatwiać (każda z nich oczywiście nie cierpi zwłoki!); cała kartka z numerami telefonów, które koniecznie – jeszcze przed odlotem – trzeba wykonać. Jakieś niedokończone zakupy. Notatki, które należy poukładać w odpowiedniej kolejności (bo mogą przydać się w drodze). A ekwipunek nie do końca skompletowany. A nie wiadomo, czy są spakowane wszystkie mapy, szkice, plany, lekarstwa, śledzie do namiotów, zapasowe guziki, moskitiery, palniki, butle gazowe, fińskie noże, maczety (choć te zawsze najlepiej kupić na miejscu), haczyki na ryby...

Co jeszcze?

A latarki i baterie? A sztućce? Żywność liofilizowana?

A kremy chroniące przed słońcem i mrozem? Fotochromowe okulary?

Godzina wyjazdu się zbliża. My – zanim dotrzemy w gąszcz dżungli – najpierw stoimy po kolana w gąszczu nieskończonych spraw i niedopakowanych rzeczy. A czasu już naprawdę na nic nie ma. Nawet minuty! Tam, gdzieś daleko, za domami, nasz samolot już grzeje silniki. A my? My tkwimy w tym najgorszym z gąszczów i tylko taksówka, wezwana przed momentem, która ma nas zawieźć na terminal, czeka przed domem i z niedowierzaniem, że jeszcze jesteśmy niegotowi, od czasu do czasu niecierpliwi się klaksonem.

Właśnie wtedy TO się stało! W takim momencie!

Trzask, prask, łubudu!!!!!

CO TO TAKIEGO?!

Jeden fałszywy ruch, jedno zbyt mocne pociągnięcie! Bo właśnie miałem po raz ostatni zaciągnąć rzemienie plecaka...

Najpierw nie wiem, co się dzieje – jakiś kataklizm, jakieś trzęsienie ziemi?, a potem już wszystko jasne: popchnięta moim łokciem, na podłogę, na to wszystko, co na niej stało, jak długa, jak ciężka, jak przeładowana, spadła półka z rekwizytami przywiezionymi z blisko pół setki podróży...

Półka jeszcze przed chwilą zawieszona na ścianie!

Teraz na podłodze!

Tu jakieś książki, tam czasopisma z reportażami, tu znów skrawki tkanin odwinięte z podniebnych mumii; czapka *pasamontaña*[1], której używają terroryści; jakaś czara, jakaś maska, indiańska dmuchawka ze strzałami unurzanymi w kurarze, terakotowe figurki przedstawiające skrzydlatych ludzi z Nazca...

Jak to teraz z sensem w takim pośpiechu poukładać?

---

[1] pasamontaña – (hiszp.) czapka kominiarka.

SKRZYDLACI LUDZIE Z NAZCA

– Zobacz – mówi Jorge i pokazuje przed siebie. W pierwszym momencie nie wiem, o czym mówi, niczego nie dostrzegam. Mój wzrok najpierw musi się przyzwyczaić do otwierającej się przede mną panoramy. Dopiero po chwili, na ciemnym, lekko fioletowym tle, zaczynam rozróżniać nieco jaśniejsze, geometryczne kształty. Nie mogę mieć już wątpliwości. Ależ tak – to ONE! Słynne, rozsławione na całym świecie przez Ericha von Dänikena linie z Nazca!

Nazca to niewielkie miasteczko, leżące 400 kilometrów na południe od Limy, na przedpolu peruwiańskich Andów. Gdyby nie niezwykłe odkrycie – którego w 1939 roku z samolotu dokonał Paul Kosok – nikt poza Peru pewnie by o nim nie słyszał. Bo Nazca na dobrą sprawę to dwie większe ulice, od których – niczym od głównych rzek – odchodzą mniejsze uliczne odpływy; duże targowisko, gdzie można zaopatrzyć się w świeże owoce, oraz kilkanaście hoteli – od luksusowych po takie na każdą kieszeń.

W przeszłości Nazca było centrum wydobycia złota. Cenny kruszec nie występuje tu jednak w postaci samorodków – *nuggetów*, lecz jest bardzo przemieszany z ka-

mieniami. Właśnie dlatego miejscowi opracowali dość oryginalny sposób jego wydobycia – zaczęli rozkruszać okoliczne skały i powstający w ten sposób piasek, jęli przepłukiwać wodą. Następnie mieszaninę wody i piasku odparowywali. Błyszczący nalot, jaki po tym pozostał, to był właśnie żółty metal – złoto.

Obecnie jednak tym tak bardzo pracochłonnym procederem trudni się tu niewielu. Prawdziwa żyła złota znajduje się dziś w Nazca całkiem gdzie indziej. Tutejsze współczesne złoto ma postać szeleszczących dolarów, które ze wszystkich stron świata przywożą do Nazca turyści. Przywożą i zostawiają. Bo Nazca – obok Cuzco, Cajamarki i jeziora Titicaca – mimo swych niepozornych rozmiarów – stało się jednym z najczęściej odwiedzanych miejsc prekolumbijskiej Ameryki.

Paul Kosok, który na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych wykonywał zdjęcia lotnicze nadbrzeżnych rejonów Peru, twierdzi, że swego wiekopomnego odkrycia nigdy by nie dokonał, gdyby nie tutejsze... soczyste owoce. Oznaczają one przepiękną, słoneczną pogodę, która w Nazca panuje przez 350 dni w roku. To natomiast wiąże się z bardzo małą ilością chmur, czyli wspaniałą widocznością i diamentową przejrzystością powietrza. To zaś – z kolei – znaczy, że Amerykanin z lotu ptaka mógł zobaczyć to, co zobaczył.

– *To był jeden z rutynowych lotów* – opowiadał później Kosok w wywiadzie, którego w 1939 roku udzielił dziennikarzowi „The Washington Post". – *Nic nie zapowiadało, że tego dnia może zdarzyć się coś nadzwyczajnego. Wykonywałem normalne pomiary, a jedyna różnica polegała na tym, że nalotu na interesującą mnie strefę dokonywałem trasą położoną nieco dalej w głębi lądu. Gdyby nie to, spiralnie zwinięty małpi ogon na pewno nie znalazłby się w zasięgu mego wzroku...*

Małpa - naziemny rysunek, który jako pierwszy wypatrzył Paul Kosok

Małpa musiała być ogromna, inaczej z wysokości 2000 metrów nie byłoby jej widać. Jej wizerunek wyryto w ciemnofioletowym podłożu równiny rozciągającej się między miejscowościami Nazca i Palpa; kształty były tak regularne i tak wyraźne, że żadna pomyłka nie wchodziła w rachubę. Nie mógł to być tylko przypadek ani naturalne odkształcenie terenu. To „coś" musiało zostać wykonane ludzką ręką.

Czyją?

W jaki sposób?

W jakim celu?

– *Po chwili okazało się jednak, że tam w dole jest nie tylko małpa* – kontynuował Kosok. – *Nieopodal ujrzałem ogromnego kolibra, którego długość dochodziła do stu, a może nawet dwustu jardów. Obie figury zatopione były w gąszczu linii prostych o różnej szerokości, długości i kącie nachylenia. Niektóre z nich były tak długie, że sięgały poza horyzont.*

– *Jaka była twoja pierwsza reakcja?* – pytał prowadzący wywiad dziennikarz.

– *Zawróciłem maszynę* – opowiadał Kosok. – *Mogło się przecież tak zdarzyć, że padłem ofiarą jakiegoś złudzenia. Ale przy drugim nawrocie nad równinę zobaczyłem to samo, a właściwie jeszcze więcej. Moje oczy już się przyzwyczaiły i stopniowo dostrzegałem teraz jeszcze więcej figur, linii, wzorów, deseni. Wciąż ich przybywało, było coraz więcej i więcej... Wiedziałem, że mam oto przed sobą gigantyczną, prehistoryczną galerię rysunków, w której jeszcze nigdy nie było żadnego Białego...*

W ten sposób odkryto największy archeologiczny zabytek świata.

Jego powierzchnia wynosi ponad czterysta kilometrów kwadratowych i jest większa od łącznej powierzchni, którą zajmuje słynny Mur Chiński. Gdyby nie wojna światowa, która wkrótce potem wybuchła i pochłonęła uwagę

Pająk - geoglif odpowiadający na niebie gwiazdozbiorowi Oriona

wszystkich na kilka następnych lat, pewnie już wtedy płaskowyż, a właściwie równinę Nazca, określono by jako ósmy cud świata.

W tej sytuacji na takie określenie naziemne rysunki z okolic Nazca musiały czekać aż do roku 1946.

Wówczas to właśnie miało miejsce drugie odkrycie gigantycznych żłobień na usianej kamieniami pampie. Do Nazca, dosłownie na kraniec świata, przyjechała niemiec-

ka matematyczka – Maria Reiche. Do dziś nie wiadomo, czy był to czysty przypadek, czy też przed wojną słyszała ona o dziwach, jakie z samolotu dostrzegł w tych okolicach Amerykanin Kosok. Niektórzy hotelarze w Nazca w wiele lat później twierdzili, że nie mógł to być tylko zbieg okoliczności, iż tajemnicza Niemka akurat wtedy chciała znaleźć się możliwie jak najdalej od Europy.

Ponoć w czasach Hitlera Maria Reiche zaangażowana była w jakieś supertajne obliczenia, które miały doprowadzić do skonstruowania niemieckiej *Wunderwaffe*. W rezultacie w pierwszych latach po wojnie na Starym Kontynencie usilnie poszukiwali jej Amerykanie. Ona sama na ten temat nigdy nie zabierała głosu. Niechętnie opowiadała też o swojej przeszłości. Twierdziła, że naziemne rysunki urzekły ją do tego stopnia, że postanowiła poświęcić im całe życie.[1]

Matematyczka, która z czasem przerodziła się też w astronoma, dotrzymała słowa. Przez kilkadziesiąt lat, najpierw pieszo, a następnie – w miarę jak ubywało jej sił – w specjalnie skonstruowanym dla niej elektrycznym fotelu, pokonywała wzdłuż i wszerz kamienistą równinę. Mierzyła, rysowała, ustalała kąty, odkrywała linie, o których istnieniu przed nią nikomu się nie śniło. Na spalonej słońcem pampie poznała dosłownie każdy kamień i każdą nierówność terenu. Gdy zmarła, pochowano ją na jednej z nich, oddając honory wojskowe. Tego dnia prezydent republiki przysłał list napisany na czerpanym papierze, w którym nadał Marii Reiche order Manco Capaca.

Pierwszy raz byłem w Nazca, gdy Maria Reiche jeszcze żyła. Mieszkała w luksusowym apartamencie w jednym z miejscowych hoteli – Hotel de Turistas. Była wtedy już półślepa i półgłucha i nasza rozmowa co chwilę się rwała. Staruszka ożywiała się dopiero wtedy, gdy dialog schodził na tajemnice rysunków.

[1] Hitlerowska przeszłość to najprawdopodobniej krzywdząca dla Marii Reiche plotka, ponieważ uczona przebywała w Peru od 1932 roku.

Maria Reiche przy pracy

– *Choć naziemne desenie są czymś wielce oryginalnym, charakterystyczne dla nich motywy występują zarówno na ceramice, jak i na tkaninach, będących wytworem lokalnej kultury z początku naszej ery* – opowiadała Maria Reiche. – *Rysunki z Nazca nie pojawiają się zatem w próżni, jak chcieliby niektórzy, lecz w kulturowym kontekście. Jedynie ich rozmiar wskazuje na to, iż były one jakimś szczytowym osiągnięciem, pewną kulminacją. Czymś takim jak Sfinks i Wielka Piramida w starożytnym Egipcie.*

– *Jakie było ich przeznaczenie?* – pytałem.

– *Był to wenusjański kalendarz* – przekonywała. – *Dawni mieszkańcy tych ziem wierzyli, że rysując linie, które w perspektywie dotykają łączącego się z horyzontem nieba, przywiązują do ziemi gwiazdy, które co noc ukazują się na nieboskłonie. Dzięki temu odkryli ruch gwiazd wyznaczający następstwo pór roku i wiedzieli, kiedy zaczy-*

nać siewy, a kiedy przygotowywać się do rozpoczęcia zbiorów. W tamtych czasach odkrycie to musiało mieć taką samą rangę, jak w wiele stuleci później odkrycie Ameryki.

Czy jednak naprawdę wszystko było aż tak proste?

Dziś coraz mniej naukowców jest skłonnych zgodzić się z tym poglądem. Nie innego zdania jest Jorge – mój przewodnik – z którym stoję teraz na wznoszącym się ponad równinę wzgórzu. Przed sobą mam widok zapierający dech w piersiach. Liczba linii, które już bez wysiłku odróżniam na tle ciemnego płaskowyżu, naprawdę jest trudna do oszacowania. Są wszędzie. Niczym słoneczne promienie rozchodzą się we wszystkich kierunkach...

– Ludzie z Nazca, na długo zanim biały człowiek przybył do Ameryki**,** musieli umieć latać – opowiada Jorge z przekonaniem. – Bo jak inaczej mogliby z taką precyzją rysować na ogromnej płaszczyźnie? Jak mogliby umieścić tak wiele rysunków na tej największej w świecie tablicy ogłoszeniowej? Przecież z ziemi, z poziomu stojącego człowieka, w ogóle nie widać, że jest tu coś narysowane. Dopiero z odpowiedniej wysokości. Im wyżej się znajdujesz, tym bardziej doceniasz to, na co przed wiekami porwali się starożytni Peruwiańczycy.

Jorge ma rację. Gdy piechur porusza się po płaskowyżu, nie jest w stanie odróżnić naziemnych rysunków od otaczającego je tła. Widzi przed sobą jedynie bezładnie porozrzucane skalne odłamki. Rysunki – wbrew temu, co może wydawać się z pewnej odległości – nie są bowiem żłobieniami. Po prostu ktoś zadał sobie trud, by porozsuwać skalne odłamki zaścielające podłoże. Tam, gdzie kamieni nie ma, grunt ma nieco inny kolor. Z oddali sprawia to takie wrażenie, jakby ktoś ziemię pokrył rysunkami. Genialnie prosta metoda dała genialne rezultaty.

Pierwszy stopień wtajemniczenia to obserwacja rysunków z okalających równinę pagórków. W ten sposób moż-

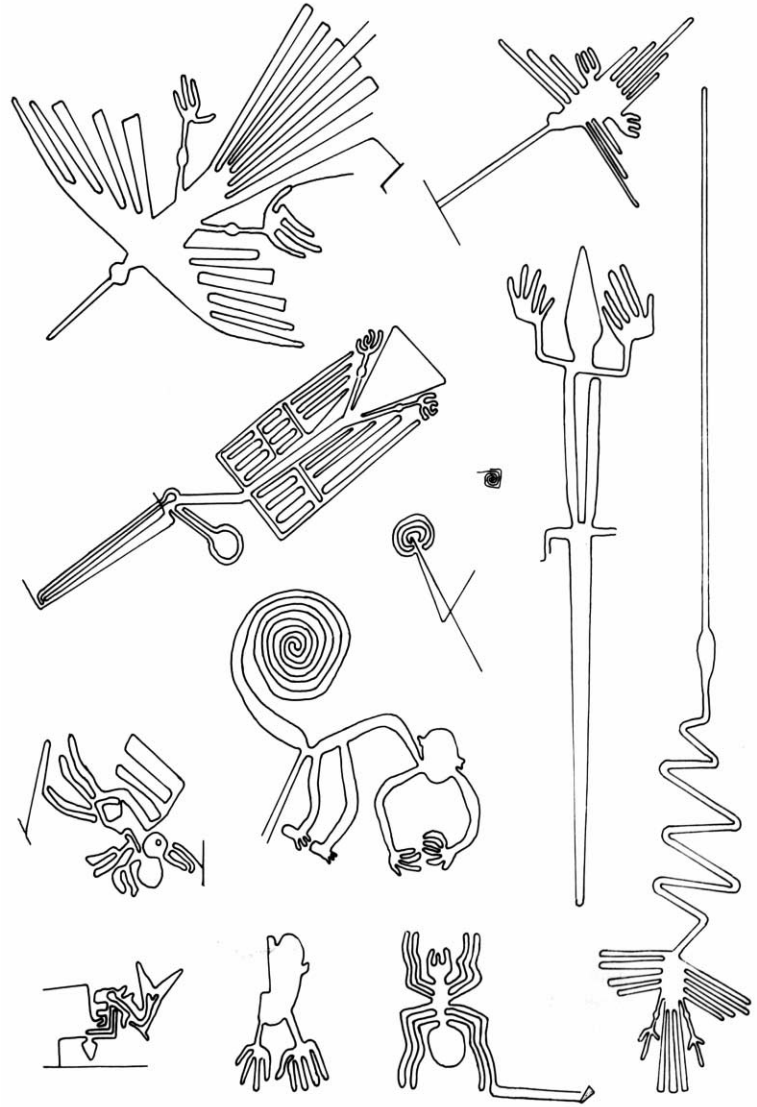

Rysunki z równiny Nazca

na zobaczyć, jak jest ich wiele oraz jak ogromną zajmują powierzchnię. Drugi stopień – to spojrzenie na nie z piętnastometrowej wieży, którą za własne pieniądze przed dwudziestu laty kazała zbudować sama Maria Reiche. Ale z wieży też widać stosunkowo niewiele – jeden rysunek, który określa się mianem rąk oraz kilka „pasów startowych" – rysunków ochrzczonych tak przez Ericha von Dänikena. W żadnym wypadku nie można jednak dostrzec rozmachu i piękna przedziwnych deseni. Właśnie dlatego należy wspiąć się na trzeci stopień wtajemniczenia: na rysunki trzeba spojrzeć z lotu ptaka, a raczej z samolotu.

Nieopodal płaskowyżu znajduje się lotnisko, z którego niewielką, sześcioosobową cessną można oderwać się od ziemi i za kilkadziesiąt dolarów odbyć przeszło godzinną podróż ponad liniami. To przeżycie całkiem unikatowe; jedyne w swoim rodzaju. Porównać je można tylko z oglądaniem panoramy Manhattanu z tarasu widokowego okalającego iglicę Empire State Building.

Jeden rysunek przypomina kangura. Inny przedstawia prawie dwustumetrową jaszczurkę. Jest też ośmiornica i kilka mniejszych wyobrażeń ptaków. Jest wspomniany koliber i małpa o ogonie zwiniętym w spiralę oraz gigantyczny pająk. Również – półksiężyc i jedna quasi-ludzka postać przedstawiająca chyba... kosmonautę! Ale nawet gdyby jej nie było, Nazca i tak – zdaniem współwyznawców tego kierunku – byłaby koronnym dowodem na kontakty Ziemian z przybyszami z innych planet.

Tak przynajmniej sądzi Erich von Däniken – szwajcarski hotelarz, który niechcący stał się autorem bestsellerów, a przy okazji prorokiem czegoś w rodzaju nowej wiary.

Däniken – jak wiadomo – twierdzi, że bogowie występujący w wielu mitologiach, są przedstawicielami pozaziemskich cywilizacji, którzy w przeszłości wielokrotnie mieli nawiedzać Ziemię. Płaskowyż Nazca to – jego zda-

niem – ich lądowisko, a rysunki z płaskowyżu mają być czymś w rodzaju drogowskazów: by pozaziemskie pojazdy nie zbłądziły i nie zgubiły drogi doprowadzającej do ogrodu pełnego dojrzałych owoców. Do bezpiecznej bazy.

Do Nazca.

Tym bardziej że w pobliżu znajduje się coś, co niektórzy gotowi są uznać za kosmiczny znak drogowy – słynny Trójząb z Paracas, zwany także Świecznikiem. Wyrysowany w stromym morskim brzegu, zarówno rozmiarem, jak i techniką wykonania może kojarzyć się z naziemnymi rysunkami z Nazca. Na dodatek, mimo że Paracas dzieli od Nazca 200 kilometrów, Świecznik-Trójząb bezbłędnie wskazuje kierunek, w jakim znajduje się tajemnicza równina. Czy jest to zbieżność przypadkowa, czy raczej świadectwo jakiegoś większego projektu z przeszłości, na temat przeznaczenia którego możemy dziś już tylko spekulować?

Maria Reiche znała poglądy Dänikena. Kpiła z nich i twierdziła, że szkoda czasu, żeby w ogóle o nich dyskutować. Tak samo niechętnie odpowiadała tylko na pytania, jakie zadałem na temat jej domniemanej, hitlerowskiej przeszłości. – *Nie będę o tym mówić* – broniła się jak mogła. – *Mam już 90 lat. Jeśli robiłam kiedyś coś niewłaściwego, to tu, w Nazca, znalazłam swój czyściec. Katorgą pod tutejszym słońcem już to odpokutowałam.*

Więcej nie udało się z niej wyciągnąć. Ale i to uważam za spory sukces. Usłyszałem znacznie więcej, niż normalnie była skłonna powiedzieć innym osobom. Te dwa, trzy krótkie zdania – sądzę – warto zachować dla potomności. Na odchodnym przypomniała mi jednak to co najważniejsze.

– *Niech pan nie zapomni napisać* – zawołała z balkonu, gdy byłem już na hotelowym dziedzińcu – *że te rysunki to wenusjański kalendarz.*

– *Jak go jednak rysowano?* – skorzystałem z ostatniej okazji.

Usłyszałem:
– *Tego, niestety, jeszcze nie wiadomo!*

Gdy po kilku latach znowu zawitałem w te strony, dr Reiche już nie żyła. Na jej miejsce przyjechali dużo młodsi badacze z Włoch i Francji. Ale ich bieganie po pampie z teodolitami i taśmami mierniczymi nadal przypominało taniec bezradności. Moim zdaniem (zresztą nie tylko moim) było to nieustanne kręcenie się w kółko. Pogoń za własnym cieniem; smok nadal bezradnie połykał wyłącznie swój własny ogon.

– Widzisz – Jorge znów triumfował. – Mówiłem ci już kiedyś – oni po prostu musieli umieć latać. Bo jak inaczej mogli się porwać na podobne przedsięwzięcie? Niedaleko stąd znajdują się *chullpas*, kamienne wieże, do których można się dostać tylko od góry. Czyli ich mieszkańcy w dalekiej przeszłości też musieli umieć odrywać się od ziemi. Czy potrzebne ci są jeszcze bardziej przekonywające dowody?

Zdanie innych mieszkańców Nazca niewiele różni się od opinii mojego *cicerone*.

– Wystarczy spojrzeć – mówią tubylcy – na ceramikę, którą odkrywa się w miejscowych grobowcach. Wiele z ceramicznych rzeźb przedstawia ludzi, którzy nie mają rąk, lecz posiadają skrzydła. To nie są bóstwa! To nie są postacie z mitów! W rzeźbach tych jest zbyt wiele motywów technicznych. Jeszcze do niedawna – na przykład – nie było wiadomo, co oznaczają kratki na skrzydłach jednej z takich postaci. Ale od kiedy w Nazca jest już telewizja, wiadomo że to najnormalniejsze w świecie baterie słoneczne!

Archeolodzy na razie nie wypowiedzieli się na temat skrzydlatych postaci, a tym bardziej – domniemanych baterii słonecznych. Nie można jednak twierdzić, że rzeźb takich nie ma, bo w okolicach Nazca, w Cahuachi, do tej

pory odkopano ich już co najmniej kilkadziesiąt. Kogo przedstawiają? Czy ich skrzydła to naprawdę skrzydła, czy może raczej coś innego? Czy domniemane płaty nośne rzeczywiście miały służyć do latania?

Bo jeśli nie do latania, to do czego?

Tymczasem – z badań nad ikonografią pobliskiej kultury Paracas (tej ściśle spokrewnionej z tajemniczym Trójzębem) i ze studiów nad motywami ze starożytnej ceramiki Nazca, wyłonił się jeszcze jeden zaskakujący obraz – zaczęło coraz wyraźniej wynikać, że prekolumbijscy mieszkańcy tych terenów rzeczywiście potrafili odrywać się od ziemi. Jak? Bo... znali balony na ogrzane powietrze!

Na mniej więcej tysiąc lat przed braćmi Montgolfier!

Na długo przed powleczonymi rybim pęcherzem skrzydłami Leonarda da Vinci!

Wykonano już nawet odpowiednie próby. Przy pomocy archeologów zrekonstruowano domniemany starożytny wehikuł, który dumnie zakołysał się nad równiną usianą tajemniczymi deseniami. Na gondoli uplecionej z mokrej trzciny wymalowano nie mniej dumny napis *Condor 1*. W ten sposób po raz pierwszy od kilkuset lat kondory wróciły do Nazca.

Zdaniem uczonych *Condor 1* stał się namacalną odpowiedzią na pytanie, czy prekolumbijscy mieszkańcy tych terenów z odpowiedniej wysokości podziwiali wytwory swej pracy i czy kiedykolwiek w całej okazałości spoglądali na naziemne rysunki. Jest to także potencjalne rozwiązanie zagadki, w jaki sposób tak precyzyjnie można było rozmaite figury i linie wyrysować na równinie.

Ale – jak łatwo można się domyślić – zwolennicy koncepcji Dänikena nie dają za wygraną. Bo – ich zdaniem – argumenty na rzecz tezy o wielokrotnych odwiedzinach tych stron przez latające talerze też można odnaleźć na nazkeńskiej ceramice. Demonstrują niewielkie, barwnie pomalowane gliniane flakony sprzed wielu setek lat, na któ-

rych przedstawiono płaskie, skośnookie twarze do złudzenia przypominające fizjonomie kosmitów, których – ponoć – w latach czterdziestych w USA, w Roswell, wydobyto z przechwyconych latających spodków. A że podobieństwo rzeczywiście jest bardziej niż uderzające, daje to wiele do myślenia.

Dzięki temu spór zwolenników UFO ze zwolennikami balonów trwa nadal. A kulturowy, czy wręcz „ceramiczny" kontekst, w którym – zdaniem Marii Reiche – należy postrzegać nazkeńskie linie, zyskał kolejną odsłonę – jeszcze jedno zaskakujące wcielenie.

Jak to poukładać? (1)

Gdy pierwszy raz przyleciałem do Ameryki Południowej (kiedy?, kiedy to właściwie było? – w 1983, 1984 roku, a może jeszcze trochę wcześniej?), wcale nie miałem zamiaru jechać do Nazca. Plany zakładały zupełnie co innego. Chciałem zająć się nie historią, przeszłością, lecz tym, co aktualnie przyciąga uwagę całego świata – czemu wszyscy bardzo się dziwią. Lecz w Peru – bo właśnie to był pierwszy kraj na mojej trasie – już na samym początku okazało się, że przed historią uciec nie sposób. Wszystkie ścieżki, szosy, drogi, nieprzetarte szlaki wiodły w odległą przeszłość. Nawet wtedy, gdy wybierało się je tylko jako pretekst, tylko po to, by dotrzeć tam, gdzie w danej chwili działo się coś zapierającego dech w piersiach. Coś, o czym chcieli mówić wszyscy, ale w zasadzie nie wiedzieli, co tak naprawdę można (należy?) na ten temat powiedzieć.

Przyleciałem do Limy, żeby z bliska, a nie tylko z prasy i z drugiej ręki dowiedzieć się czegoś bardziej konkretnego o ówczesnym peruwiańskim terroryzmie i by napisać książkę o Sendero Luminoso – Świetlistym Szlaku – organizacji partyzancko-terrorystycznej, która za cel postawiła sobie przemienienie tego wielkiego i niezgłębionego kraju

w jeden gigantyczny obóz kolektywnej pracy i – aby to osiągnąć – posługiwała się niezwykle krwawymi i barbarzyńskimi metodami (tak, tego określenia na pewno można tu użyć). Należało do nich palenie całych wsi położonych wysoko w Andach, mordowanie miejscowej inteligencji, wykonywanie egzekucji na przerażonych ludziach tylko po to, by innych zastraszyć i zmusić do ślepego, bezmyślnego posłuszeństwa. Było to o tyle ułatwione, że Peru jest krajem ogromnym (pięciokrotnie większym od Polski), a na dodatek na dobrą sprawę prawie całkiem bezludnym, prawie całkowicie pozbawionym dróg (Peru liczyło wtedy około 20 milionów obywateli, z których prawie jedna trzecia mieszkała w jednym punkcie, a mianowicie w stolicy, Limie). Właśnie dlatego terroryści Świetlistego Szlaku w co bardziej odległych zakątkach kraju mogli w zasadzie robić, co im się żywnie podobało, a że za wzór wzięli sobie Czerwonych Khmerów z ówczesnej Kambodży, na peruwiańskich bezdrożach, z dala od cywilizacji, w najgłębszej południowoamerykańskiej głuszy, praktycznie bez przerwy lała się krew – zwykle krew całkowicie niewinnych ludzi.

Do Europy tylko od czasu do czasu docierały na ten temat strzępy informacji. W dużej mierze były one jednak niesprawdzone i bardzo niepewne, ponieważ władze z Limy raczej niechętnie przyznawały się do tego, co tak naprawdę dzieje się w ich kraju. Chciałem na własne oczy sprawdzić, co jest tam grane i przekonać się, co z tego wszystkiego może wyniknąć. Czy Peru mogło stać się foco guerrillero*? – zapalnikiem walki zbrojnej – w całej Ameryce Łacińskiej, o jakim wiele lat wcześniej marzył Ernesto Che Guevara, czy też tylko i wyłącznie mogło przerodzić się w rozsadnik rozpaczy i ogromu nieszczęść?*

Jako dziennikarz nie mogłem wtedy podróżować po peruwiańskim interiorze. Nie mogłem o tym nawet marzyć. Zagraniczni korespondenci byli wtedy zamknięci

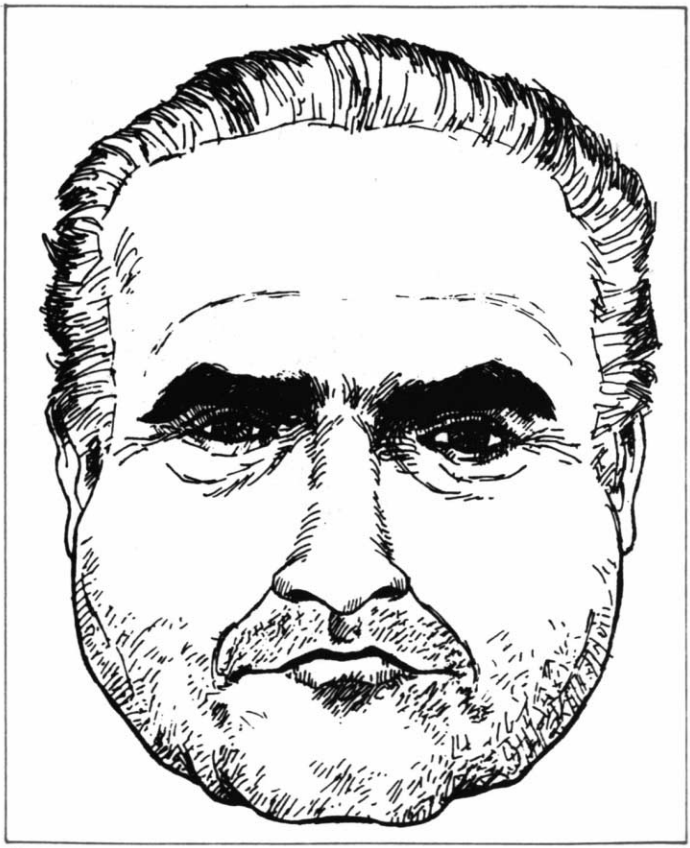

Abimael Guzman – przywódca Świetlistego Szlaku.
Portret z listu gończego

w kawiarniano-kanapowym getcie w stolicy kraju, Limie, gdzieś między Plaza de Armas a Plaza de San Martin, i władze żadnemu z nich nie zezwalały na wyjazd z tego wielkiego i w ogromnej większości obrzydliwego miasta. Pozostawała mi więc jedyna możliwość – podróżować po Peru jako turysta (dlaczego inni dziennikarze wtedy tak nie robili – doprawdy nie wiem), a to jakby z definicji zmuszało mnie do poruszania się po utartym, historycz-

nym szlaku, na którym znaleźć musiało się oczywiście i Cuzco, i Machu Picchu, i jezioro Titicaca. Wtedy byłem z tego powodu wielce nieszczęśliwy, ponieważ wydawało mi się, iż marnuję wiele cennych chwil (bo tylko od czasu do czasu mogłem czynić krótkie, co najwyżej kilkudniowe „wyskoki" w bok, aby przekonać się, co tak naprawdę piszczy w peruwiańskiej trawie). Z czasem jednak przekonałem się, iż nie ma tego złego... Bo tamtejszej współczesności, zresztą nie tylko peruwiańskiej, ale współczesności całego kontynentu (w tym także współczesnego oblicza tamtejszego terroryzmu) nie sposób zrozumieć, nie zagłębiając się w lokalną historię, w tym – w tradycję prekolumbijską. Wszak czas przeszły i czas teraźniejszy w Ameryce Południowej bardzo ściśle splatają się z sobą do dziś i niewiele wskazuje na to, by szybko miało się to zmienić.

Właśnie dlatego dotarłem do Nazca. Właśnie dlatego spotkałem się z Niemką, Marią Reiche. Dlatego też samolotem wzbiłem się nad słynną równinę usłaną przedziwnymi, prehistorycznymi rysunkami. Jednak gdy siedziałem u boku Arturo – pilota wynajętej na godzinę awionetki – uparcie patrzyłem na wschód: w stronę, gdzie za rdzawymi łańcuchami gór, już naprawdę niedaleko, rozpościerał się departament Ayacucho – matecznik peruwiańskiego terroryzmu: następny, po Nazca, etap mojej podróży...

OSIEM TEZ, OSIEM GWOŹDZI

Grimaldo Gutierrez Castillo był sześćdziesięcioośmioletnim pracownikiem poczty we wsi Concepcion – andyjskim pueblo, którego daremnie by szukać na najdokładniejszej nawet mapie Peru. Roznosił listy, stemplował koperty, tym którzy nie potrafili – odczytywał treść przesyłek na głos. – Był miłym człowiekiem, z poczuciem humoru, czwórką dorosłych dzieci i osiemnaściorgiem wnucząt – wspominają dziś sąsiedzi. Był także jedną z pierwszych ofiar Sendero Luminoso – pierwszą osobą, na której po „procesie" wykonano „wyrok". Do dziś wielu się dziwi, że właśnie na niego padł wybór. – Pewnie dlatego, że był postawny, barczysty i dało się wbić w niego aż osiem gwoździ – brzmi najbardziej rozpowszechniona odpowiedź. Policja jest natomiast zdania, że jeden z synów Gutierreza Castillo, mimo wielomiesięcznych nagabywań, w przeddzień śmierci swego ojca kategorycznie odmówił współpracy z senderystami.

To, co zdarzyło się następnego dnia, było po prostu zemstą.

Podobno zjawiło się ich trzydzieścioro – zamaskowanych. Mężczyźni i kobiety. Grimaldo otwierał wąskie drzwi, niczego nie podejrzewając. Sądził zapewne, że to

któryś z wnuków przychodzi upomnieć się o swoją cotygodniową porcję słodyczy. Obezwładniono go bez najmniejszych trudności.

Zaryglowano bramę. W cieniu wielkiego patio odbył się sąd.

Ten sam rytuał miał się potem powtarzać regularnie w najróżniejszych zakątkach Ayacucho: trzech w ciemnych, wełnianych swetrach, oskarżało; ci, którzy głosowali i na znak akceptacji podnosili dłonie; ten który odczytywał wyrok, również – kilku trzymających pojmanego za ręce. Jeden cały czas stał na uboczu, podawał po jednym stalowe trzpienie. Reszta milczała i bez tremy grała rolę publiczności.

Zarzucono mu współpracę z policją, składanie donosów na piśmie i teleksowej taśmie. Na to że jest „wyzyskiwaczem" i „kapitalistą" wskazywał fakt, że przeżył o 23 lata więcej, niż wynosił średni wiek na ajakuczańskiej wsi. – To sąd wojenny, musimy się spieszyć – zakomunikowano mu, widząc, że on niczego jeszcze nie pojmuje.

Przez trzy ostatnie godziny swego życia Grimaldo Gutierrez Castillo musiał powtarzać osiem tez. Trzy godziny trwała egzekucja. Trzy godziny trwało wbijanie gwoździ.

Było ich dokładnie tyle co tez.

Pierwszy wbito w lewe udo. Zamiast młotka użyto dwóch ciężkich kamieni. By nie krzyczał, usta zakneblowano mu wełnianym workiem. Przedtem, do wypicia dano jakiś gorzki wywar, który z zakręcanej butelki wlano wprost w rozwarte usta: żeby za wcześnie nie stracił przytomności, żeby mocno nie krwawił i by w palcach mógł trzymać długopis.

Pierwsza teza mówiła o tym, że Peru jest krajem zależnym, półkolonialnym i feudalnym, a wieśniacy stanowią najbardziej zacofaną i wyzyskiwaną część społeczeństwa, przez co właśnie na wsi występują konflikty w najbardziej ostrej postaci. Worek uniemożliwiał mu powtarzanie.

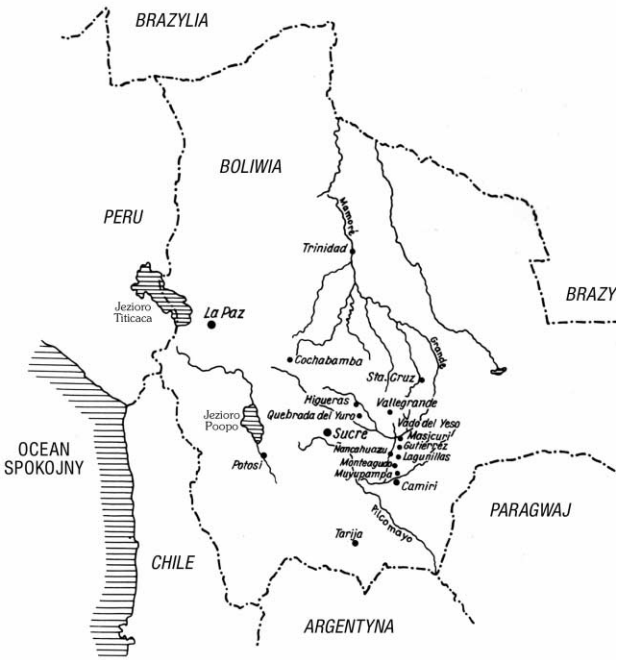

Peruwiański departament Ayacucho – matecznik Świetlistego Szlaku

Podsunięto więc białą kartkę. Długopisem przyklejonym do palców taśmą izolacyjną pisał szybko, choć niezbyt wyraźnie. Jakby mu się spieszyło. Zaraz potem zaczęto wbijać drugi gwóźdź.

Wbijano go symetrycznie, w prawe udo. Metalowe ostrze natrafiło na kość, co stało się przyczyną dodatkowego bólu i pod znakiem zapytania postawić mogło dalszy ciąg egzekucji. Raz jeszcze musiano szybko odwiązać knebel i w usta wlewać gorzki wywar. Gdy Grimaldo Castillo odzyskał przytomność, dyktować zaczęto drugą tezę: jako kraj półfeudalny i półkolonialny Peru nie może mieć ustroju demokratycznego opartego na takich insty-

tucjach, jak na przykład parlament. Tym razem piszący miał znacznie większe trudności. Dopiero po dwudziestu minutach przejść było można do tezy numer trzy.

Gwóźdź wbijano teraz w mięsień lewej łydki. Zwrócono uwagę na właściwe oddalenie od kości. Zapytano go, czy rozumie to, co mu czytają, a on na to tylko skinął głową. Teza mówiła , że praktyka aktualnego rządu pogłębiła rozwój kapitalizmu biurokratycznego i państwa korporacyjnego. W ten oto sposób końca dobiegła pierwsza z trzech ostatnich godzin życia Grimaldo Gutierreza Castillo ze wsi Concepcion w departamencie Ayacucho.

Czwartym gwoździem przeszyto mięsień prawej łydki. Skazany odzyskał poprzednią sprawność. Od 1969 roku po rok 1980 Peru znajdowało się w sytuacji „rewolucji stacjonarnej", czyli – rewolucji sztucznie powstrzymywanej; począwszy od roku 1980 rewolucja nabrała nowego impetu – następuje coraz gwałtowniejsze starcie „drogi biurokratycznej" z „drogą demokratyczną".

Bezzwłocznie przystąpiono do ciągu dalszego wbijania gwoździ.

Wybór padł na nadgarstek lewej ręki. Pisał teraz, że uczestnicząc w wyborach i respektując burżuazyjne prawodawstwo, wzmacnia się rozwój biurokracji i wyzyskiwaczy; jedyną alternatywą jest *lucha armada* – walka zbrojna; walka przeciwko „parlamentarnemu kretynizmowi".

Kolejny metalowy trzpień przeznaczono na przedramię lewej ręki. Burzono w ten sposób dotychczasową symetrię – prawa ręka musiała pozostać sprawna do samego końca. Znów musiano użyć wywaru, pośpiesznie zawiązać knebel z worka. Pisał: rewolucja peruwiańska będzie demokratyczna, narodowa, antyimperialistyczna i antyfeudalna; jej podstawę stanowi przymierze robotników i chłopów; chłopstwo to siła napędowa rewolucji; proletariat określa kierunek i charakter zmian.

W Ayacucho na każdym kroku towarzyszyły mi nieufne spojrzenia

Lewą rękę postanowiono wykorzystać do końca. Przedostatni gwóźdź wbito trzema szybkimi uderzeniami w napięty mięsień trójgłowy: by móc przeciwstawić się siłom zbrojnym stanowiącym wojska okupacyjne, w trakcie rewolucji formuje się armia ludowa, która jest w stanie otworzyć drogę ku Państwu Nowej Demokracji.

Ósmy, ostatni gwóźdź przeszył prawe płuco. Wbito go na wysokości trzeciego i czwartego żebra: partia kształtuje się i rozwija w trakcie walki zbrojnej; ulega przekształceniom, by stać się prawdziwą armią ludową.

Nie wiadomo, w jaki sposób zdołał to napisać. Zaobserwowano, że pod koniec już się nawet nie pocił. Skoncentrował się na umieraniu. Czynił to umiejętnie i z przekonaniem, iż w zaistniałej sytuacji jest to konieczne i zarazem jedyne rozsądne wyjście. A gdy zmaltretowane ciało było już właściwie martwe, całe pozostałe życie spłynęło w prawą rękę i w jej piszące do ostatniej chwili palce.

Kiedy końca dobiegła trzecia godzina od momentu ogłoszenia wyroku, już po zapadnięciu zmroku i pod osłoną godziny policyjnej ciało wyniesiono na główny plac wioski i tu powieszono głową w dół na słupie. Na ostatniej białej kartce, dokładnie, minuta za minutą, opisano przebieg egzekucji, a na odwrocie dodano już spłoszonym pismem, że *guerra a muerte* – „wojna na śmierć i życie" trwa.

A tak skończą wszyscy „donosiciele" i „zdrajcy".

Jak to poukładać? (2)

Wtedy (był rok 1983, teraz już sobie przypominam) do Ayacucho – stolicy departamentu o tej samej nazwie – można było wjechać tylko przez zieloną granicę. Z zielenią nie miała ona wiele wspólnego, bo wszędzie było buro, szaro, sucho jak pieprz, górzyście, ale w niczym nie zmieniało to faktu, iż dostać się tam można było tylko nielegalnie. Kolej w ogóle nie kursowała (terroryści regularnie rozkręcali tory), a na drogach każdy autobus, każdą ciężarówkę skrupulatnie kontrolowała policja. Mundurowi szukali rebeliantów, broni, narkotyków i dokładnie takich wścibskich gringos *jak ja. Wiedziałem, że gdybym wpadł w ich ręce, natychmiast, pod eskortą, zostałbym odstawiony do Limy – wprost na międzynarodowe lotnisko Jorge Chavez. Musiałem więc korzystać z mniej wygodnych środków lokomocji: z mulich karawan, które sobie tylko znanymi ścieżkami pokonywały góry i przełęcze w ogóle jeszcze niezaznaczone na mapie, z grzbietów lam i osłów, wreszcie – z własnych mocno nadwerężonych nóg i z butów. Po trzech dniach takiego w dół i w górę, w górę i w dół, po trzech dniach takiego na przełaj i w bród przez rzekę Apurimac, w końcu ujrzałem rogatki Ayacucho. Ale to nie był koniec mojej wędrówki.*

Najwyżej półmetek. Mój cel znajdował się jeszcze 70 kilometrów dalej.

Istniał wtedy jeden szczególny punkt w Ayacucho (departamencie), w którym – jak w kropli wody – odbijał się cały wszechświat szalejącej dookoła terrorystycznej przemocy. Właśnie tam chciałem się znaleźć. Na krótko przed moim przyjazdem do Peru, w wiosce tej doszło do masakry peruwiańskich dziennikarzy, którzy (także nielegalnie) wybrali się w te strony, by od podszewki przyjrzeć się temu wszystkiemu, co w tamtych krwawych dniach działo się na ajakuczańskiej prowincji. Ciekawość swą przypłacili życiem. W bestialski sposób zostali zgładzeni (zatłuczeni, wykastrowani, zakłuci) przez miejscowych wieśniaków. Dlaczego? Rzecz w tym, że tego nigdy do końca nie udało się wyjaśnić. Czy dlatego, że chłopi wzięli ich za terrorystów, którzy przybyli do wioski, by ją spacyfikować? Czy może dlatego, że wieśniacy podjudzeni zostali przez peruwiańskie wojsko? Bo po co dziennikarze („obcy") mieliby wrócić do Limy i opowiadać (albo – jeszcze gorzej – pisać, pisać bez końca) o różnych niekonstytucyjnych, nielegalnych metodach walki stosowanych przez Sinchis[1] *w wojnie z terrorystami? Po co? Lepiej by w górach zostali na zawsze, lepiej by zaginęli bez wieści.*

Czyż nie?

Tak się jednak nie stało. Rzecz w tym, że sprawa niebawem wyszła na jaw. A na wieść o tym całe Peru dosłownie zawrzało. Jak to możliwe? Jak coś takiego mogło się zdarzyć? W jakim kraju, w jakim stuleciu żyjemy?

Miejscowość, w której doszło do masakry – do tej jedynej w swoim rodzaju komedii pomyłek, z których każda podszyta była nienawiścią i przemocą – nosiła bardzo egzotyczną i trudną do wymówienia nazwę: Uchuraccay.

Wiedziałem, że za wszelką cenę muszę do niej dotrzeć.

---

[1] Sinchis – nazwa peruwiańskich jednostek antyterrorystycznych.

ZAKĄTEK ŚMIERCI

Ayacucho w języku keczua oznacza „Zakątek Śmierci". W rozmowach dziennikarzy w Limie – Uchuraccay – znaczy dokładnie to samo. Lecz różnicy tej nie sposób wytłumaczyć za pomocą pojęcia lokalnego dialektu. Nie jest to też slang ani zawodowa gwara: za dziennikarzami słowo to przejęli studenci, telewizyjni komentatorzy i gimnazjaliści. Z tytułów porannej prasy trafiło ono na usta plażowiczów z Miraflores. Wykrzykują je także roztańczoną literą pokryte czerwoną farbą mury cuzkeńskich przedmieść.

Uchuraccay znaczy śmierć: o tym w Peru wiedzą już wszyscy.

Jeszcze do niedawna Uchuraccay znaczyło po prostu „Mały Sklep". Nieco dokładniej – nie znaczyło prawie nic. Bo nikt nie wiedział o istnieniu tej wsi. Nikt nie wiedział o istnieniu jej dwustu czterdziestu ośmiu mieszkańców, z których tylko dziewięciu zna hiszpański, ośmiu pisze, a reszta zamiast podpisu stawia krzyżyki lub zostawia odciski brudnej ręki. Nic w tym dziwnego: dalej to niż na końcu świata, głęboko w górach, 4000 metrów licząc w górę od powierzchni Pacyfiku, tam gdzie nie sięga siedemdziesięciokilometrowa szosa wiodąca z Ayacucho na

północ. To mniej niż osada – luźno rozrzucone chaty z kamienia, słomy i gliny na stokach dwóch przeciwległych wzgórz. Gdy trzeba zebrać mieszkańców na głównym placu – czyjaś ręka pociąga za sznur dzwonu znajdującego się na szczycie kamiennej wieżyczki. Wtedy niskie postacie zawinięte w wełniane *ponchos*, sobie tylko znanymi ścieżkami schodzą ku dnu doliny. Pytają: „Czy coś się stało?".

Niskie postacie niechętnie posługują się pieniądzem. Handlu nie uprawiają z tej prostej przyczyny, że handlować tu nie ma czym. Jedyną monetę obiegową stanowią gałęzie górskich krzaków, zahartowanych wysokością i porywistym wiatrem. Ich drewno znakomicie nadaje się na ostrza najprymitywniejszych pługów świata zwanych *allanche* i na sękate półksiężyce zastępujące tu sierpy. Dopełnieniem wieśniaczego rynsztunku są piki. Można nimi wybierać kartoflane bulwy *chuño* spośród kamieni lub – w razie potrzeby – oczy z ludzkich oczodołów. Lecz o tym dopiero za chwilę.

Taki jest obraz tej wsi. Było tak do niedawna. Aż „Nic" zmieniło się w „Śmierć". Dziś wszyscy pytają: Uchuraccay? Gdzie to Uchuraccay właściwie się znajduje?

Pyta nawet sam prezydent.

Pytań jest zresztą co niemiara. Na przykład: Czy łatwo jest pomylić aparat fotograficzny z karabinem? Czy terrorysta i złodziej to na pewno to samo? Czy czerwona flaga może służyć za osłonę przed słońcem? Czy wieś, której dotąd na dobrą sprawę wcale nie było, może stać się przyczyną zmiany rządu? Co zrobić, gdy Indianie na pytanie „kto?" – odpowiadają „my", a na myśli mają tak ludzi, jak i otaczające wieś góry oraz kukurydziane ziarno w wełnianych workach? I najważniejsze z nich: jak to mogło w ogóle się zdarzyć?

Jak?

Dnia 23 stycznia 1983 roku, w środę, Uchuraccay wciąż jeszcze znaczy „Nic" lub w najlepszym razie „Mały

Sklep". W godzinach wieczornych do wsi dociera ośmiu dziennikarzy kilku gazet wydawanych w Ayacucho. Mieszkańcy wsi są właśnie zgromadzeni na placu, by przedyskutować brak wody i czekające ich zasiewy. Mają przy sobie swój drewniany rynsztunek – dużo sękatych półksiężyców, jeszcze więcej pik. Nigdy nie udało się ustalić, czy ostrza z drewna twardszego od stali zawsze przynależą do dyskusji o suszy i ziarnie, czy też może *campesinokuna*[1] uzbroili się tego wieczora wiedzeni przeczuciem i instynktem odwiecznych mieszkańców gór.

– Wiatr był z południa – powie później dziennikarzom wieśniak Wallpata. – Im bliżej zachodu, tym *Tayta Inti*[2] miał opończę z coraz bardziej gęstej purpury. Mogło to oznaczać napuchnięty brzuch muła, który zjadł zbyt wiele wilgotnej trawy lub dużo, dużo ludzkiej krwi.

W tej samej chwili, gdy dziennikarze zatrzymują się na placu, w ruch idą drewniane motyki. „Wiatr był z południa": wiatr dobry do zabijania. Giną, nie wiedząc do końca, czy wrzawa otaczających ich zwartym kręgiem jest powitalnym entuzjazmem, czy może czymś całkiem innym. Giną z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. Giną szybko i sprawnie. Giną nie dłużej niż dwie minuty. Zresztą – to tylko jedna z wersji ich śmierci. O innych mowa będzie za chwilę.

Tymczasem mord trwa nadal, choć raz już został dokonany. Dnia tego każdemu z dziennikarzy dane było umierać... kilkakrotnie.

Najpierw, żeby nie było wątpliwości, raz jeszcze umiejscówmy akcję w czasie.

I zaraz okazuje się, że bardzo trudno rozstrzygnąć, jaki rok obowiązuje w Uchuraccay. Poszukiwania kalendarza były tak długie, jak bezowocne. O pomoc musiano prosić ekspertów. „Jedna z najbardziej podstawowych kwestii jest niemożliwa do rozwikłania w sposób jednoznaczny"

[1] campesinokuna – (keczua) wieśniacy.
[2] Tayta Inti – (keczua) Ojciec Słońce.

– brzmiał ich werdykt. Eksperci o uniwersyteckich tytułach stwierdzili, że być może w Uchuraccay czas wciąż płynie po okręgu – „było" przechodzi w „jest", „będzie" w „było". Wątpliwości jedynie być nie mogło co do tego, że siedemdziesiąt dwa kilometry dalej na południe, w Ayacucho – stolicy departamentu – trwa już od blisko miesiąca rok 1983. W Limie zaś – właśnie wtedy, gdy w Uchuraccay wiał silny wiatr z południa – gazety („La Prensa", „Que hacer") donosiły, za ile tygodni amerykański Explorer osiągnie rubieże Układu Słonecznego, by ku kosmicznej nieskończoności nieść wyryty w złotej płytce wizerunek człowieka, natomiast prezydent republiki – Fernando Belaúnde Terry – przyznając w telewizji, że istnieje wiele trudności, mówił przede wszystkim o bliskości ostatecznego rozwiązania „problemu sierry" i o rychłym wejściu w nowe tysiąclecie.

Im zaś dane było umierać wielokrotnie.

Po raz drugi dziennikarze umierają, gdy wieśniacy łamią im nogi: żeby, choć martwi, już nigdy nie mogli powrócić do Uchuraccay. Po raz trzeci – gdy rolniczymi narzędziami okaleczają im genitalia: żeby nawet w zaświatach nie mogli mieć potomków. Po raz czwarty – gdy pochylone nad ciałami postacie ucinają im po jednym palcu u dłoni: by móc złożyć je w ofierze bóstwom górskich dolin i wyschniętych potoków. Po raz piąty – gdy w usta nakładają im żwir i kamienie, a wargi zaszywają nićmi z lamich ścięgien, żeby zabici już nigdy nie mogli przemówić. Po raz szósty, ostatni – gdy masakrują ich twarze, drzewcami pik przebijają serca, oczy wykłuwają rogami drewnianych półksiężyców: żeby pogrążyć ich w wiecznej ciemności, by zabici nigdy już nie mogli poznać twarzy swych oprawców. Potem wszystko jest już gotowe, by ciała ułożone twarzą do ziemi przysypać bardzo grubą warstwą górskiego kamienia.

Mimo to Uchuraccay wciąż znaczy nie więcej niż „Ma-

ły Sklep". Wciąż jeszcze nikt o niczym nie wie. A wieśniak Wallpata powie dopiero za tydzień: „Nie macie pojęcia jak trudno jest całkiem i do końca zabić człowieka. Gdy jest ich aż ośmiu – to prawie niemożliwe".

Właśnie: Już w cztery dni potem, w niedzielę, w Tambo – niewielkim miasteczku – jeden z Indian odziany w purpurowe poncho, w drodze na mszę w kościele ze źle ociosanych kamieni, na stole prefekta policji kładzie zawinięty w duży liść palec i obdarty rękaw koszuli w brązową kratę z pociemniałymi już śladami krwi. To ma być dowód. On zaś – chce dostać nagrodę. Tak jak wielu dostało już przedtem.

– Zabiliśmy ich – mówi.

– Kogo?

– Tych, co przyszli pieszo.

Bo od trzech lat w Ayacucho trwa wojna. Wojna z partyzantami Sendero Luminoso, których powszechnie zwie się także terrorystami. Wojownicy ze Świetlistego Szlaku podpisują się pod nauką Mao, dodają doń jedynie trzy własne poprawki. „To tak – powie później w rozmowie jeden z nich – jakbyśmy skorygowali błędy ortograficzne w manuskrypcie Wielkiego Sternika". Wojna jest krwawa, dużo w niej eksplozji umiejętnie rozmieszczonych ładunków dynamitu: oficjalne statystyki mówią o blisko stu tysiącach zabitych w ciągu dziesięciu lat walk. Tylko w samym styczniu 1983 roku doliczono się dziewięćset pięćdziesięciu ofiar śmiertelnych. Każdy następny miesiąc żniwo to miał zwielokrotnić.

W wojnie z partyzantami wojsko i policja próbują pozyskać do współpracy wieśniaków. Nawet w najbardziej odludnych i odległych okolicach. Nawet w Uchuraccay. Także tam, gdzie dolecieć można tylko helikopterem. Umundurowani strażnicy porządku odwiedzają wioski dwa, trzy razy w roku. Każą zabijać. Zabijać i obcinać palce. Korzystają z faktu, że w języku tubylców „obcy" i „diabeł" są

synonimami; że obcinania kciuka przeciwnika wymaga tubylczy odwieczny rytuał. Gdy nadlatują – pytają o palce terrorystów, liczą obcięte kikuty. Zabierają je do helikoptera i są one następnie komisyjnie palone. By Indianie nie wymieniali ich między sobą, by dwukrotnie nie zgłaszali się po nagrodę. Bo – gdy palców jest dużo – ci, którzy przylatują helikopterami, nie kryją swego zadowolenia: rozdają koce z wiskozowego włókna z metką *made in Hongkong*, noże, widelce i długopisy, których potem nikt nie używa. Gdy jest ich zbyt mało – kiwają głowami. Na pytania Indian, kogo właściwie mają zabijać, by obcinać palce i w zamian dostać koce, pada odpowiedź:

– Obcych, którzy przychodzą pieszo.

Prefekt policji w Tambo niczego jeszcze nie podejrzewa. Palec na jego stole jest na razie tylko palcem jak wiele innych, które już widział. Bo, prawdę mówiąc, czym różni się palec dziennikarza od palca terrorysty? Lecz już nazajutrz obrywa się cała lawina...

Już następnego dnia, w poniedziałek, Uchuraccay znaczy „Śmierć".

Zamiast patrolu terrorystów – okazuje się – drewnianym rynsztunkiem zakłuto i okaleczono ośmiu ajakuczańskich dziennikarzy. W zamian oczekiwano błyszczących sztućców i brązowych koców. Najpierw nie ma całkowitej zgodności. Dla wielu jest to po prostu „pomyłka", „zbieg okoliczności", „coś, co już na pewno nigdy się nie powtórzy". Inni przypominali przemówienie prezydenta na szklanym ekranie, kiedy to Fernando Belaúnde Terry chwalił odwagę i bojowość wieśniaków, którzy dwa miesiące wcześniej maczetami i drewnianymi pałkami zmasakrowali mały oddział terrorystów zaskoczonych pośród gór. Pokazywali zakreślone w prasie cytaty z wywiadu ministra Oscara Vizquerry, który twierdził, że: „by siły zbrojne mogły mieć szansę na ostateczny sukces, trzeba zabijać senderystów i wszelkich obcych. Choćby na sześć-

dziesięciu zabitych, było tylko trzech terrorystów. Innej możliwości nie ma".

Koniec cytatu.

Jest 30 stycznia 1983 roku.

Z Limy do Uchuraccay nadlatują fotoreporterzy i korespondenci stołecznej prasy. Wieśniacy najpierw niczego nie rozumieją. Wołają sołtysa, który wie najdokładniej, ile warte są palce ośmiu terrorystów. Sołtys zna hiszpański, tym razem jednak żąda tłumacza. Chce się upewnić. „Ci, którzy przybyli helikopterami", nie chcą bowiem oglądać palców, chcą widzieć ciała „tych, którzy przyszli pieszo". Przez następne pół godziny trwa wahanie i ociąganie. Okazuje się, że Indianie właśnie spieszą się w pole. „Wiatr był ze wschodu – powie cytowany już poprzednio wieśniak Wallpata – co oznaczać może, że brzuch muła wytrzyma napór wilgotnej trawy lub że będzie trzeba kopać w ziemi i odsuwać ciężkie kamienie. Tak, tak – doda pospiesznie – to również najlepszy czas, by wszyscy nagle zapragnęli udać się na pole".

W końcu – pada jednak: „Tu". Tu trzeba kopać.

Przybyli zostali sami. W słonecznym skwarze praca trwa blisko godzinę. Po godzinie, oprócz zmęczenia, wielu czuje przede wszystkim wstyd. Wstyd i przerażenie. Reszta – choć już nikt nie ma prawa do wątpliwości – wciąż nie może uwierzyć.

Ciała zostają ekshumowane, a niedowierzanie stopniowo przeradza się w krzyk, gdy trzy tygodnie później prezydent stwierdził, że winni... NIE ZOSTANĄ UKARANI! Gdy poprawił się i poprosił, by dobrze go zrozumieć: Bo w związku z tym, iż ten przypadkowy mord wyrósł z bezlitosnej, ale odwiecznej andyjskiej tradycji, winna jest po prostu cała tutejsza rzeczywistość!

Czyli – konkretnych sprawców w ogóle nie należy ustalać.

Winnych nie ma.

Jak...? (3)

W Uchuraccay po raz pierwszy w pełni uświadomiłem sobie, jak bardzo zakrzywiona jest peruwiańska i w ogóle południowoamerykańska czasoprzestrzeń – jak z przeszłości, nawet tej najbardziej odległej, blisko tu do teraźniejszości. Jak czas teraźniejszy bezszmerowo i bezkolizyjnie w kraju tym potrafi przechodzić we wszechobecny i wszechmocny czas przeszły. W tej zapadłej, przez wszystkich zapomnianej (do czasu!) ajakuczańskiej wiosce do mordu na dziennikarzach na pewno by nie doszło, gdyby nadal nie były tam żywe prastare tradycje. Tradycje składania ofiar z ludzi. Tradycje kultu gór i wiary w bóstwa, które tylko z wierzchu zostały przybrane w chrześcijański sztafaż, a w rzeczywistości nadal pozostawały Tayta Inti, Pachamamą, Puka Inti, Viracochą.[1]

Ofiary z ludzi w Peru – kraju chlubiącym się najbardziej liberalną polityką gospodarczą w całej Ameryce Południowej – w wysokich, bezludnych Andach składane są do dziś! (to niewątpliwie temat na osobną książkę!). Dzięki nim keczuańscy chłopi chcą zapewnić sobie dobre zbiory, dostatek wody i to, by ich siedliska omijały trzęsienia ziemi i erupcje wulkanów. Opowiadano mi o tym wielo-

[1] Pachamama, Puka Inti, Viracocha - (keczua) Matka Ziemia, Czerwone Słońce i Najwyższe Bóstwo.

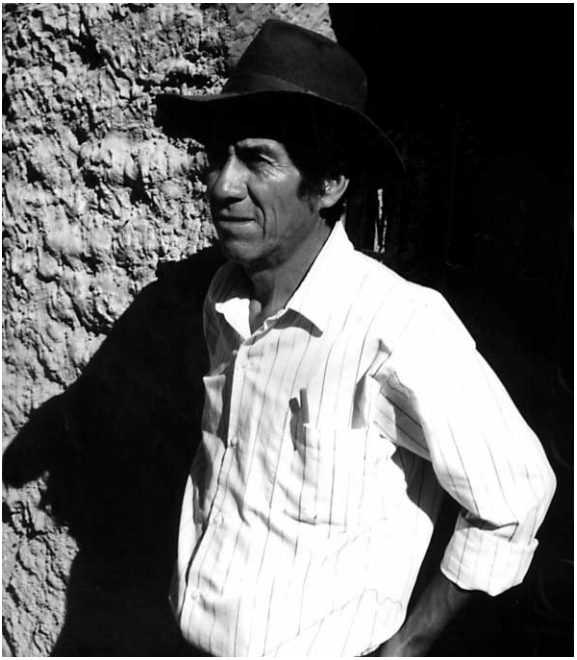

Opowiadał o ofiarach z ludzi, które w Andach składa się do dzisiaj

krotnie, niekoniecznie w czasie tej pierwszej podróży, ale podczas wielu późniejszych wypraw, które odbyłem w latach następnych, a w roku 1999, gdy na płaskowyżu Marcahuasi w nadmorskim pasmie Andów realizowałem film dokumentalny o gigantycznych kamiennych posągach, spotkałem nawet człowieka, który jeszcze nie tak dawno pełnił rolę mistrza ceremonii w czasie takich krwawych rytuałów!

Powiedział on wtedy:

– Następna ofiara, u nas, u podnóża Marcahuasi, w San Juan de Casta, zostanie złożona w chwili przejścia w nowe tysiąclecie. Bez tego nie moglibyśmy być pewni, czy przebrniemy przez to ucho igielne. Czy świat przetrwa,

czy nie pogrąży się w upadku, w chaosie... Jak nikt dobrowolnie nie podejmie się tego ważnego obowiązku, będziemy ciągnąć losy...

Słysząc to, przeraziłem się. Nie mogłem też nie pomyśleć wtedy o Uchuraccay i o tym jak – wbrew pozorom, wbrew wszystkim fujimorizmom[1] *i reformom – niewiele w czasie wszystkich minionych lat (a nawet stuleci!) zmieniło się w peruwiańskim interiorze!*

Przecież dokładnie tak samo myśleli dawni Inkowie! Właśnie dlatego stworzyli instytucję Nustas del Sol *– Dziewic Słońca: kastę nieletnich kapłanek co jakiś czas z największą pompą składanych w ofierze andyjskim szczytom i górskim potokom!*

Najwięcej na ich temat wie bez wątpienia Johan Reinhard – amerykański archeolog, specjalista od „podniebnych", ofiarnych mumii. Poznałem go nieco później, gdzieś między Ayacucho a Puno (Reinhard jechał właśnie do Arequipy).

Było to w czasie mojej trzeciej (a może czwartej?) peruwiańskiej podróży.

[1] Alberto Fujimori – prezydent Peru, który w latach 1990-2000 dokonał bardzo głębokiej modernizacji gospodarki i peruwiańskiego życia politycznego.

PODNIEBNE MUMIE Z ANDYJSKICH SZCZYTÓW

Jak znalazły się tak wysoko?

Czego miały strzec?

Czy miały wskazywać drogę?

Amerykanin Johan Reinhard dokonał sensacyjnych odkryć, dzięki którym ma szansę stać się jednym z najbogatszych ludzi świata, a jednocześnie najsłynniejszym archeologiem przełomu tysiącleci.

Johan Reinhard w ciągu wielu lat niestrudzonych wędrówek po wysokich Andach w Chile, Boliwii, Peru i Ekwadorze stworzył nową gałąź archeologii – archeologię wysokogórską. Dokonał kilku przełomowych odkryć, które – zdaniem specjalistów – można wręcz porównać do natrafienia w Egipcie na nienaruszony grób Tutanchamona w Dolinie Królów.

Czego takiego dokonał Reinhard?

Wśród ośnieżonych szczytów zlokalizował kilka miejsc, gdzie w czasach prekolumbijskich Inkowie – pradawni mieszkańcy tych ziem – składali ofiary z ludzi. Reinhard odnalazł kilka kompletnych, nieuszkodzonych grobów ofiar tych obrzędów, co – przy braku pisanych źródeł na temat prekolumbijskiej przeszłości – ma dla naukowców wprost nieocenione znaczenie. Ale jakby i tego było mało

– wydaje się dość prawdopodobne, iż znaleziska te dopomogą w rozwiązaniu jeszcze większej nierozstrzygniętej zagadki. A mianowicie – gdzie Inkowie ukryli swoje legendarne skarby, aby uchronić je przed dostaniem się w ręce hiszpańskich konkwistadorów?

Do prawdziwej lawiny odkryć Reinharda doszło w połowie lat dziewięćdziesiątych. Było to spowodowane kolejnymi wyjątkowo ciepłymi porami suchymi w Andach, co przyczyniło się do zmniejszenia grubości pokrywy śnieżnej w najwyższych partiach gór. Tam, gdzie poprzednio znajdował się lód i śnieg, pojawiły się skały i rumowiska. Do tego doszła jeszcze duża aktywność wulkanu Ampato, która spowodowała znaczne ocieplenie jego stoków. I właśnie nieopodal tego wulkanicznego szczytu Johan Reinhard w 1995 roku natrafił na swoją pierwszą „podniebną" mumię. Poprzednio musiała być spowita całunem zlodowaciałego śniegu i nawet gdyby ktoś stanął w odległości jednego metra od niej, mógłby znaleziska najnormalniej w świecie nie zauważyć.

Zmumifikowane chłodem zwłoki kilkunastoletniej dziewczynki tkwiły na niewielkiej kamiennej platformie, do której wiodła stroma ścieżka wyłożona wysuszoną trawą i kawałkami drewna. Mumia siedziała w kucki i była zawinięta w kilka warstw starannie wykonanych, wielobarwnych alpakowych tkanin. Znakomicie zachowały się rysy twarzy, które nawet po wiekach zdradzały, iż Juanita (bo tak Reinhard nazwał swoje znalezisko) w chwili śmierci znajdowała się w stanie euforii i uniesienia.

W głowie odkrywcy natychmiast zaświtała myśl: „Oto natrafiłem na rytualną ofiarę". Wskazywało na to istnienie kamiennej platformy, wiodąca ku niej wymoszczona trawą i kawałkami drewna ścieżka, jak i to, że denatce, tuż przed śmiercią, najprawdopodobniej podano jakiś odurzający, narkotyczny napój. Dodajmy, że fakt składania ofiar z ludzi na terenie andyjskim w epoce prekolumbij-

Podniebna mumia z nadmorskiego pasma Andów

skiej był od dawna znany, tu jednak po raz pierwszy udało się natrafić na cały sytuacyjny kontekst tego odwiecznego rytuału.

Reinhard dokonał ważnego odkrycia – to nie ulegało wątpliwości. Nikt jednak wtedy nie sądził, iż za kilka lat znalezisku temu przypadnie w udziale... miano rewelacji. Jego przyszłego znaczenia nie było można przewidzieć tym bardziej, iż wcale nie było to pierwsze znalezisko tego rodzaju.

Na pierwszą andyjską mumię pogrzebaną na podniebnych wysokościach natrafiono w 1953 roku w Chile, w masywie El Plomo. Odnaleziono tam zmumifikowane

chłodem i suchym, wysokogórskim powietrzem zwłoki chłopca, którego ciało przed wiekami zostało przyozdobione kunsztownie wykonanymi naszyjnikami i kilkoma złotymi szpilami. Zmarły w zasięgu rąk miał naczynia, w których nawet po upływie stuleci można było domyśleć się resztek strawy. Ponadto, w podróży w zaświaty, towarzyszyły mu statuetki opiekuńczych bożków i dobrych (bo upierzonych) demonów.

Według poglądów obowiązujących do momentu odkrycia Juanity z Ampato, Inkowie traktowali górskie szczyty jako swoiste, naturalne piramidy i, od czasu do czasu, na ich stokach składali ofiary z ludzi – najczęściej z pierworodnych potomków szlachetnych rodów. Ofiara wybrana z pospólstwa mogłaby być obrazą dla bóstw, a że najczęściej rytuały ofiarne miały służyć pozyskaniu przychylności niebios, w ofierze składano osoby, w których żyłach płynęła królewska, a przynajmniej książęca krew.

Przy składaniu ofiar chodziło najprawdopodobniej o odwrócenie klęsk naturalnych, takich jak powódź czy susza, albo o zapobieżenie wybuchowi wulkanu. Reinhard początkowo sądził, iż właśnie takie było przeznaczenie ofiary złożonej z około piętnastoletniej Juanity w szczytowej partii Ampato. Z czasem jednak zaczął zmieniać swój pogląd na ten temat.

W kolejnych latach natrafił na cztery dalsze „podniebne" mumie. Powoli stawał się najlepszym znawcą i rekordzistą świata w szybkości ich znajdowania. W porównaniu ze zwłokami odnajdywanymi w dolinach, jego mumie wyróżniały się starannością pochówku i bogactwem otaczających je przedmiotów. Wskazywało to na jakąś specyficzną rolę, jaką owe ofiarne rytuały musiały dodatkowo spełniać. Sugerowało to także, iż w ich przypadku nie chodziło o tradycyjne pochówki ani nawet o rutynową ofiarę, lecz o coś znacznie ważniejszego.

O co? – tego Reinhard na razie jeszcze nie wiedział.

W połowie 1996 roku powrócił na stoki Ampato – w miejsce, gdzie poprzednio natrafił na mumię Juanity. Pragnął zweryfikować swoją koncepcję, zgodnie z którą dawni Inkowie za bóstwa uznawali same górskie szczyty i właśnie dlatego byli skłonni składać im w ofierze młodocianych członków najbardziej znakomitych rodów.

Lato znów było upalne, a na zboczach wulkanu znajdowało się jeszcze mniej śniegu niż w roku 1995. Ku swojemu ogromnemu zdumieniu, w pobliżu miejsca poprzedniego znaleziska, Reinhard natrafił tym razem jeszcze na dwie inne, równie dobrze zachowane mumie, pochodzące z tego samego okresu co mumia Juanity.

To była już sensacja!

I to niemała!

Do tej pory sądzono bowiem, że „podniebne" mumie zawsze występowały w odosobnieniu. Nigdy jeszcze nie natrafiono na tak duże ich skupisko. Uwagę uczonego przykuło także to, iż wszystkie mumie z Ampato zostały usytuowane na obwodzie okręgu. „Zupełnie tak, jakby ich zadaniem było strzeżenie jego wnętrza" – taka myśl Reinhardowi natychmiast przyszła do głowy. Czyżby więc odnajdywane w Andach zmumifikowane zwłoki były nie tylko świadectwem rytuałów ofiarnych? A jeśli mumie czegoś strzegły, to... czego?

Penetrując wnętrze okręgu wyznaczonego przez trzy mumie (dwie nowo odnalezione i trzecią, od roku spoczywającą już w jednym z arequipeńskich muzeów), Reinhard dokonał kolejnego odkrycia. W skalnym zboczu, które w poprzednich latach było przykryte lodem i śniegiem, odnalazł wnękę, do której dostęp przesłaniała częściowo zdemolowana ścianka z glinianych cegieł – *adobe*. Mimo że ta skalna komórka była pusta, istniejące w jej wnętrzu nisze pozwoliły domyślać się, iż niegdyś kamienny schowek był wypełniony najróżniejszymi przedmiotami. Jaki-

mi – okazało się dopiero po przekopaniu dna schowka. Wśród wydobytej darni, kamieni i ziemi Reinhard odnalazł bowiem... kilka złotych grudek i pojedyncze ziarna złotego piasku!

W tym momencie sensacja stała się rewelacją! Badacz skojarzył bowiem całą rzecz z zapisami w starohiszpańskich kronikach, z których wynikało, iż w okresie konkwisty strażnikami inkaskich skarbców – prócz (co zrozumiałe) wojowników – bardzo często były mumie młodocianych Inków. Indianie zauważyli bowiem, iż... konkwistadorzy bardzo obawiali się śmierci oraz wszystkiego, co może się z nią kojarzyć i mieli nadzieję, że w ten sposób uchronią swe skarbce przed splądrowaniem przez spragnionych złota Hiszpanów.

Reinhard zaryzykował tezę, iż odnajdywane przezeń „podniebne" mumie pełniły rolę podobnych strażników, a ich zadaniem była nie tylko ofiara w celu wyjednania łaski bóstw, lecz nade wszystko ochrona ukrytych skarbów.

Złoto, czy to pod postacią kruszcu czy precjozów, Inkowie kojarzyli ze słońcem. Bardzo prawdopodobne więc, że w pewnej chwili zaczęli znosić złote przedmioty w miejsca, z których ich droga do słońca (a właściwie Słońca!) zdawała się być najkrótsza. To bowiem, że ten prastary lud dysponował niezmiernymi zasobami złota, dla historyków nie ulega wątpliwości.

Wiadomo, że przez pewien czas Inkowie gromadzili skarby w Cajamarce, pragnąc wykupić za nie z niewoli swego władcę – Atahualpę – uwięzionego przez konkwistadorów. Drogocenności te znoszono do tego wysokogórskiego miasta podniebnymi szlakami dosłownie ze wszystkich zakątków Tawantinsuyu – Kraju Czterech Dzielnic. Na wieść o tym, że – mimo obietnic – Hiszpanie stracili królewskiego więźnia, znajdujące się w „tranzycie" złoto w jednej chwili zniknęło z powierzchni ziemi. W mgnieniu oka zostało ukryte, najprawdopodobniej

gdzieś wysoko w górach. Gdzie – tego nigdy nie wyjaśniono.

Hipoteza, jaka zaczęła rodzić się w głowie Reinharda, mogła okazać się tu bardzo cennym drogowskazem. Na podstawie odnalezionych śladów archeolog doszedł do wniosku, iż mumie z Ampato najprawdopodobniej strzegły skarbca, który w przeszłości został już przez kogoś złupiony. Oznaczało to, iż nie jest wykluczone, że podobną rolę do spełnienia miały wszystkie inne mumie, na których pozostałości przez lata natrafił on na innych andyjskich szczytach (do 1999 roku Reinhard odkrył łącznie siedem mumii). Nawet gdyby powtórzyła się sytuacja, z którą miał do czynienia na Ampato i gdyby w każdym przypadku miało okazać się, że skarbiec został już obrabowany, naukowcy tropiący kryjówki zaginionych inkaskich skarbów zyskaliby cenną wskazówkę.

Ponowne wizyty w miejscach, w których Reinhard poprzednio natrafił na mumie, utwierdziły go w przekonaniu o słuszności przyjętej hipotezy. Dokładne oględziny pozwoliły stwierdzić, iż niekiedy, po usunięciu śnieżnej pokrywy, rzeczywiście natrafiano na dalsze „podniebne" mumie (domniemanych „strażników") oraz na skalne, częściowo zamurowane nisze, w których w przeszłości mogły być przechowywane kosztowności. Tu i ówdzie, po usunięciu skalnego gruzu, Reinhard natrafiał nawet na pojedyncze złote precjoza.

Czy mógł to być tylko przypadek?

Kto zrabował resztę złota – nie wiadomo. Trudno przypuścić jednak, by stało się to już w czasach konkwistadorów. Najpewniej spokój andyjskich skarbców naruszony został znacznie później przez rozmaitych tropicieli przygód i różnych *huaqueros*, czyli peruwiańskich rabusiów starożytnych grobów.

Dziś Johan Reinhard jest całkowicie przekonany o słuszności swojej koncepcji. Zdążył już nawet pożało-

wać, iż systematycznie publikował wyniki badań na ten temat i przelewał na papier swe przypuszczenia. Podejrzewa, iż w ten sposób dostarczył wielu awanturnikom busolę, która może im wskazać miejsce, gdzie po dziś dzień przechowywane są legendarne skarby Inków. W to bowiem, iż wszystkie kryjówki zostały już splądrowane, nie wierzy. Nieodmiennie, przez co najmniej kilka miesięcy w roku, wędruje pośród ośnieżonych szczytów Andów i – jak drogowskazu – wypatruje nowych „podniebnych" mumii[1].

[1] W roku 1999, kierując odbywającą się pod patronatem „National Geographic" wysokogórską wyprawą archeologiczną na leżący na granicy Argentyny i Chile szczyt Llullaillaco (6739 m n.p.m.), Johan Reinhard odkrył trzy dalsze mumie ofiarne Inków. Towarzyszyło im dwadzieścia złotych posążków. W tym samym sezonie archeologicznym, w Argentynie, na szczycie Quehar (6130 m n.p.m.) natrafił on na analogiczną inkaską mumię dziecka. Tym razem jednak za późno, bo znalezisko było zdewastowane przez *huaqueros*. Czy w ich ręce – oprócz mumii – wpadło jeszcze coś innego?

Jak...? (4)

Gdy Reinhard kończył opowiadać o mumiach, prawie natychmiast rozpoczynał tyradę o peruwiańskich rabusiach starożytności, z którymi – chcąc nie chcąc – od lat musiał konkurować. W jego głosie w jednej chwili pojawiała się nienawiść, a obok niej niepokój i strach – obawa, że przegra z nimi wyścig; że huaqueros *– ci domorośli archeologowie myślący przede wszystkim o tym, jak dobrze sprzedać swoje znaleziska, wyprzedzą go; że szybciej dotrą do kolejnej mumii, do następnej ofiarnej platformy pośród gór...*

Do czegoś jeszcze?

Problem, co w Peru i w ogóle w całej Ameryce Południowej można jeszcze odkryć, czy istnieje na przykład od stuleci poszukiwane Paititi – miasto złotego króla El Dorado, nadal pozostaje otwarty. Bo to, iż w dżungli, po wschodniej stronie Andów, znajduje się jeszcze wiele zaginionych kamiennych miast, jest w zasadzie więcej niż pewne. Przez lata kolejne z nich były odkrywane – w 1911 roku słynne Machu Picchu, w latach siedemdziesiątych – Vilcabamba, jeszcze później – Kuélap, Gran Pajaten, a ostatnio (co szczególnie pasjonujące, bo odkrycia dokonano dosłownie na przedprożach Limy) – kamienny bastion San Juan de Iris.

Machu Picchu – najsłynniejsze zaginione miasto

Na temat zaginionych miast najwięcej wiedzą znienawidzeni przez Reinharda huaqueros. *Wędrując po południowoamerykańskich bezdrożach, stykałem się z nimi wielokrotnie. Ostatnio – w roku 1998 – gdy po raz pierwszy wybrałem się na północ Peru. Ernesto i Rodolfo – dwaj bracia, z którymi spotkałem się wtedy u podnóża Piramidy Słońca w Dolinie Moche, nie czynili wielkiej tajemnicy ze swego fachu. O szczegółach uprawianego przez siebie procederu opowiadali bez większych zahamowań.*

Ze zdziwieniem dowiedziałem się od nich, na ile poważnie traktują swoją profesję, jak studiują fachową literaturę, jak doskonalą technikę penetracji starożytnych

cmentarzysk. To zwykle oni jako pierwsi natrafiają na ślad zaginionych miast i przez dziesięciolecia – traktując je jako „kopalnię rekwizytów przeznaczonych na sprzedaż", jako „niewyczerpane źródło dochodu" – informacje na ich temat trzymają w najgłębszej tajemnicy. Często tylko przypadek decyduje o tym, iż wiadomość na ten temat trafia do naukowców, do badaczy. I gdy ci docierają na miejsce, okazuje się, iż to co najcenniejsze (także z naukowego punktu widzenia) znajduje się już w innych rękach. Najczęściej zagranicą.

Choć jest jeden wyjątek. Stanowi go Enrique Poli i jego niepowtarzalna (naprawdę przepiękna!) kolekcja z ulicy Lord Cochrane 455, w limeńskiej dzielnicy Miraflores. Enrique Poli jest niewątpliwie królem południowoamerykańskich huaqueros *(z tego powodu ma zresztą bardzo wiele nieprzyjemności) – to właśnie on jako pierwszy odkrył przepełnione złotymi precjozami królewskie groby w Sipán nieopodal Lambayueque na północy Peru i tym samym ubiegł dr. Waltera Alvę, który przez lata poszukiwał tego miejsca. Dziś Poli jest posiadaczem największej kolekcji złota z Sipán i wartość jego zbioru wielokrotnie przekracza wartość złotej biżuterii znajdującej się w kierowanym przez Waltera Alvę Muzeum Brunninga w Lambayueque. A niewiele brakowało, by całe złoto z Sipán trafiło w ręce Poliego...*

– Dlaczego nie przejął pan wszystkiego, co zostało odkryte w Sipán, skoro do tamtejszych grobów miał pan dostęp pięć lat przed archeologami? – zapytałem go, gdy udzielał mi wywiadu.

– To, co zostało znalezione w Sipán, okazało się tak bogate i obfite, że nawet ja nie miałem tyle pieniędzy, by w całości wykupić to z rąk moich „kopaczy". Dlatego Sipán zostało przez nas wyeksploatowane tylko częściowo. Reszta miała zostać pod ziemią i czekać na lepsze czasy. Niestety, zanim one nadeszły, pojawił się Walter Alva

z workiem pieniędzy od „National Geographic", sponsorującego jego poszukiwania.

– Jak wpadł pan na ślad tego skarbu?

– Poszukiwania słynnych grobów z Sipán zleciłem już w początku lat 70., ponieważ z relacji miejscowych wieśniaków jasno wynikało, iż gdzieś w tamtej okolicy znajdują się bogate złote depozyty. Pierwszy natrafił na nie mój człowiek – Bernal Diaz. To on jest prawdziwym odkrywcą Sipán, a nie Walter Alva. W historii odkryć w Ameryce Południowej było tak już wielokrotnie. Prawdziwymi odkrywcami są Bernal Diaz, „El Gordo" i Victor Arteaga, a nie Julio C. Tello, Max Uhle czy Hiram Bingham...

– Co?! Hiram Bingham nie odkrył Machu Picchu?

– Oczywiście, że nie! Mówiłem już o tym wielokrotnie! Przed nim do ruin dotarł Adolfo Victor Arteaga – miejscowy chłop i huaquero. *To on doprowadził Binghama do słynnych ruin!*

Znów byłem zdumiony. Tak zdumiony, że jak najszybciej postanowiłem znaleźć się w Machu Picchu. Jednak kolej w tym czasie wciąż jeszcze nie kursowała w poprzek Andów (nadal grasowali terroryści) i żeby dotrzeć nad górną Urubambę, najpierw musiałem dojechać nad jezioro Titicaca...

JEZIORO TAJEMNIC

Pod wieloma względami Titicaca bije wszelkie rekordy. Jest największym żeglownym jeziorem świata. Ma ponad osiem tysięcy kilometrów kwadratowych, a jego ciemnogranatowa toń wypełnia wysokogórską kotlinę między Boliwią a Peru. Spośród wszystkich jezior globu jego wody są najbardziej zasolone. Czy to dlatego, że kiedyś było częścią oceanu (na co wskazuje występowanie w nim pewnych odmian morskich ślimaków), czy też powodem jest duże nasłonecznienie i szybkie parowanie wody?

Największym sekretem tego jeziora jest Tiahuanaco – starożytne miasto, które zgodnie z podaniami miejscowych Indian w zamierzchłej przeszłości zostało wzniesione przez gigantów. Jego ruiny położone są już na boliwijskim brzegu i stanowią jeden z najważniejszych pomników kamieniarskiej sztuki czasów prekolumbijskich. Z jakiej epoki to miasto pochodzi? Dobre pytanie – pytanie, na które nikt, jak dotąd, nie znalazł jednoznacznej odpowiedzi. Datowania znalezisk z Tiahuanaco różnią się bowiem między sobą o tysiące lat. Oznacza to, że owo miejsce najprawdopodobniej w sposób nieprzerwany było zasiedlane przez kilkanaście tysiącleci.

W przeszłości najpewniej był to port. Fragmenty ruin przywodzą na myśl nabrzeża, do których niegdyś mogły

przybijać żaglowe statki. Wody jeziora musiały docierać znacznie wyżej niż teraz i Tiahuanaco, obecnie nieco cofnięte w głąb lądu, kiedyś przypuszczalnie leżało na samym brzegu Titicaca. Sugeruje to gatunek kamienia, z którego wzniesiono najpotężniejsze budowle miasta. Różowawy andezyt, z jakiego skonstruowano cyklopie mury Tiahuanaco, występuje tylko po przeciwnej stronie jeziora i trudno przypuszczać, by – zataczając ogromny łuk – przywożono go drogą lądową. Znacznie bardziej logiczne i łatwiejsze wydaje się inne rozwiązanie: kamienny budulec transportowano trzcinowymi łodziami w poprzek jeziora, prosto na nabrzeża Miasta Bogów. Takie miano temu miastu nadali mieszkający tu obecnie Ajmarowie.

Współczesnym Indianom trudno bowiem wyobrazić sobie, by „coś takiego" jak Tiahuanaco mogli wznieść zwykli ludzie. Uważają, że w tym skomplikowanym i karkołomnym przedsięwzięciu ich przodkom niechybnie musieli pomagać „bogowie". Dowód na to ma stanowić najbardziej znany zabytek tej prehistorycznej metropolii – wykonana z jednego gigantycznego, kamiennego bloku Brama Słońca. Stoi ona odosobniona, bez widomego związku z pozostałymi budowlami wchodzącymi w skład ruin. Mimo że jest to brama, na pewno nie służyła do wchodzenia skądś dokądś, bo po obu jej stronach znajduje się pusta przestrzeń. Nie była też pomnikiem, rodzajem łuku triumfalnego, ponieważ do tego celu również się nie nadawała: jest tak wąska, że trzeba pod nią przechodzić gęsiego. Na dodatek – lekko schylając głowę.

Do czego więc służyła?

W jakim celu ją wykuto?

– *Bramy i przypominające je otwory zawsze uchodziły za coś szczególnego* – uważa Ernst Meckelburg, autor słynnego *Szoku czasu*. – *W Biblii niekiedy opisywano je jako wypełnione „dymem". Chodzi tu raczej o kłębienie i falowanie, jak to – zgodnie z obecnymi teoriami – bywa,*

kiedy gdzieś w naszym świecie niespodziewanie otwiera się „okno" do nadprzestrzeni, przejście do innych czasów i równoległych rzeczywistości.

Czy to właściwy trop?

Czy w przeszłości cały obszar wokół jeziora Titicaca był takim właśnie „oknem"?

Nie mający sobie równego w całej Ameryce prekolumbijskiej kamieniarski kunszt, z jakim skonstruowano megalityczne mury Tiahuanaco, zdaniem niektórych zdaje się to potwierdzać. Przez tysiąclecia musiało stąd emanować bardzo silne, cywilizacyjne światło nieznanego pochodzenia, które nie pozostało bez wpływu na dalszy los sąsiadujących z Tiahuanaco ludów. Ślady tych wpływów można odnaleźć na całym obszarze andyjskim – od kolumbijskiego San Augustin po dzisiejsze środkowe Chile. Być może nieprzypadkowo Inkowie twierdzili, że protoplasta ich dynastii – Manco Capac – wynurzył się z piany fal jeziora Titicaca i znad jego brzegów odbył wędrówkę w poszukiwaniu swej „ziemi obiecanej", którą odnalazł kilkaset kilometrów na północ, w dolinie Cuzco.

Kim byli mieszkańcy Tiahuanaco? Czy rzeczywiście mieli poczucie jakiejś szczególnej cywilizacyjnej misji? W jaki sposób trafili na tę podniebną wyżynę wznoszącą się prawie cztery tysiące metrów nad poziomem morza? Czy byli rosłymi brodaczami, co sugerują pozostawione przez nich kamienne rzeźby? Czy też może owi brodacze to czczeni przez mieszkańców Tiahuanaco „bogowie", przybywający tu – jak chce Ernst Meckelburg – z „rzeczywistości równoległych"?

A może potomkami budowniczych Tiahuanaco są... Indianie Uros, którzy stanowią kolejny, wcale nie mniejszy sekret jeziora – tym razem etnologiczny?

Przed wiekami było to bardzo liczne plemię, do dziś przetrwały tylko jego niedobitki. Pomiary antropometryczne sugerują, że obecnie Uros czystej krwi praktycznie

już nie ma, a ci, którzy przetrwali, wymieszali się z sąsiadującymi z nimi Ajmarami; ich oryginalna, pierwotna rasa jest już niemożliwa do odtworzenia.

Na podstawie zapisów odnajdywanych w hiszpańskich kronikach pochodzących z okresu konkwisty wiadomo natomiast, że w przeszłości Indianie ci znajdowali się na znacznie wyższym poziomie rozwoju niż obecnie. Przed wiekami Uros różnili się od swoich sąsiadów zarówno zaawansowaniem cywilizacyjnym, jak i wyglądem zewnętrznym. Zarówno przez siebie samych, jak i przez sąsiadujące z nimi plemiona zgodnie byli uznawani za swoistą elitę. Utwierdzało ich w tym silne poczucie inności i odrębności, a także wiara w to, że ich praojcowie – przynosząc wraz z sobą wiele nieznanych na tych ziemiach wynalazków – przywędrować mieli nad jezioro Titicaca z bardzo daleka. Ci plemienni protoplaści wywodzili się ponoć od białoskórych, brodatych bóstw, które (podobnie jak skrzydlaci ludzie z Nazca) do perfekcji opanowały... sztukę latania!

– *My wcale nie jesteśmy ludźmi* – opowiadali Indianie Uros Jeanowi Vellardowi, francuskiemu antropologowi, który praktycznie całe życie strawił na studiowaniu ich sekretów. – *My jesteśmy inni, my – mieszkańcy jeziora Kot-Sun*[1] *– byliśmy tu wcześniej niż Inkowie; wcześniej niż Ojciec Nieba Tatiu stworzył plemiona: Ajmarów, Keczua i Białych. Byliśmy tu, zanim Słońce zaczęło oświetlać Ziemię. Już w czasach, kiedy Ziemia była pogrążona w półmroku, gdy oświetlały ją tylko Księżyc i gwiazdy i nie było jeszcze Słońca. Byliśmy już wtedy, gdy jezioro Kot-Sun było znacznie większe niż obecnie. Już wówczas żyli tu nasi ojcowie. Nie, my nie jesteśmy ludźmi. Nasza krew jest czarna, dlatego nigdy nie marzniemy. [...] Nie mówimy językiem ludzi i dlatego ludzie nie rozumieją, co opowiadamy. Głowy nasze są inne niż głowy pozostałych*

[1] Kot-Sun – nazwa jeziora Titicaca w języku Indian Uros.

Indian. Jesteśmy bardzo, bardzo starzy – jesteśmy starsi od najstarszych ludzi.

Dylematem, z jakim przez wieki Indianie Uros musieli się zmagać, było z jednej strony – wielkie umiłowanie wolności, a z drugiej – wielka niechęć i awersja do walki i wojowania. Przed bardziej prymitywnymi, ale i bardziej bitnymi Ajmarami nie potrafili się skutecznie bronić i zamiast walki często wybierali ucieczkę. Egzystencja w stałym zagrożeniu doprowadziła ich do paradoksalnej sytuacji. Ze stulecia na stulecie, pod wpływem stresu, następował regres ich cywilizacji. Uros tracili coraz więcej zajmowanego przez siebie terytorium, stawali się ludem coraz bardziej zalęknionym, coraz mniej licznym. W ubiegłym stuleciu ich liczebność zmniejszyła się do tego stopnia, iż poszczególni kacykowie wraz z rządzonymi przez siebie rodzinami zaczęli przenosić się na wyspy położone na jeziorze Titicaca. Ale i to na niewiele się zdało – również stamtąd byli stopniowo wypierani przez ekspansywnych Ajmarów. Pchnęło ich to do rozwiązania wręcz desperackiego: z sitowia – porastającego brzegi jeziora – Uros zaczęli konstruować sztuczne pływające wyspy i wznosić na nich swoje obozowiska.

To właśnie na tych pływających enklawach w liczbie kilkudziesięciu głów przetrwali do chwili obecnej. Trudnią się przede wszystkim rybołówstwem, wyplataniem koszy z sitowia i tkactwem. Oczekują, że któregoś dnia u schyłku dziejów zdarzy się to samo, co miało miejsce na początku historii – że na brzegu Titicaca pojawią się latający bogowie i zabiorą ich ze sobą hen daleko, do nieba...

Legenda o latających bogach skłania do tego, by na nowo spojrzeć na inne dziwy znad brzegów jeziora Titicaca – w tym na *chullpas*, czyli Kamienne Kominy.

Te smukłe konstrukcje rozsiane są w wielu miejscach na płaskowyżu Altiplano, ale największe, najdostojniejsze

ich skupisko znajduje się w Sillustani, nieopodal Puno. Są to ogromne, puste w środku kamienne walce, wznoszące się na wysokość od dwudziestu do trzydziestu metrów. Sposób dopasowania składających się na nie bloków skalnych przywodzi na myśl kamieniarską perfekcję z Tiahuanaco. Jeśli twórcy tych Kamiennych Kominów nie wywodzili się z samego Miasta Bogów, to – w najgorszym wypadku – musieli być nadzwyczaj pojętnymi uczniami tiahuanackich kamieniarzy.

Już sama walcowata forma *chullpas* może być sporym zaskoczeniem. Jak wiadomo – zgodnie ze standardowymi poglądami – prekolumbijscy mieszkańcy Ameryki nie znali koła. Mieli natomiast znać walec? To, że go znali, jak na dłoni widać właśnie na przykładzie *chullpas*. To, czy od walca uczynili kolejny krok i odkryli koło, jest już trochę mniej pewne. Mało prawdopodobne wydaje się jednak, by ustawiając jeden na drugim składające się na walec kamienie, nie zauważyli, czym różni się powierzchnia płaska od powierzchni zakrzywionej. I co z tego wynika dla rodzącej się w tym momencie dynamiki.

To pierwsza niespodzianka. Zaraz za nią pojawia się kolejna.

Zgodnie z obiegowymi teoriami *chullpas* były budowlami o przeznaczeniu pochówkowym. Zdaniem archeologów w ich wnętrzach składać miano ciała zmarłych przedstawicieli indiańskiej arystokracji. Przyjmując taki pogląd, pominięto jeden tylko z pozoru błahy szczegół. Nie licząc niewielkich otworów o przeznaczeniu wentylacyjnym, potężne kamienne walce pozbawione były jakiegokolwiek wejścia. Jedyny dostęp do nich wiódł od góry, ponieważ nie miały one zadaszenia. Jeśli więc rzeczywiście byłyby to groby, to w jaki sposób składano w nich zwłoki? Katapultowano je do wnętrza? A może okrągłe ściany budowano dopiero wokół złożonego na wieczny spoczynek ciała, zupełnie inaczej niż w Europie?

Tak pierwszy, jak i drugi wariant zdaje się być mało prawdopodobny. W związku z tym zwolennicy poglądów mniej standardowych zaproponowali własne rozwiązanie. Brak wejścia – tę architektoniczną niedoskonałość *chullpas* – skojarzyli z legendą Indian Uros o latających bogach. Ich zdaniem *chullpas* są dowodem na to, że w przeszłości nad jeziorem Titicaca żyły istoty potrafiące... latać! Mieszkałyby one w *chullpas* i wzlatywałyby ponad równinę Altiplano, wydostając się z nich przez wylot Kamiennych Kominów...

Nie – wcale niekoniecznie musieli to być kosmici! Ale na przykład – tak jak w Nazca – kapłani eksperymentujący z balonami na ogrzane powietrze! Mogli to być również „Ludzie-Nietoperze", stanowiący stały składnik prekolumbijskiego panteonu w wielu różnych regionach. Wreszcie – być może byli to prehistoryczni inżynierowie, których wynalazki w postaci uskrzydlonych pojazdów odkryto w kilku grobowcach w kolumbijskim San Augustin...

Znajdujemy się na progu nowego tysiąclecia.

Ludzie byli już na Księżycu i pewnie za jakiś czas tam powrócą. Wysłali Voyagera poza granice Układu Słonecznego i sondę Galileo, która przedarła się przez atmosferę Jowisza.

To dużo, nawet bardzo dużo.

Ale – jak widać – nadal za mało.

Zagadki znad brzegów jeziora Titicaca wciąż czekają na rozwikłanie.

Jak...? (5)

Teraz już nic nie stało na przeszkodzie, żeby udać się prosto do Machu Picchu. Za sobą miałem tzw. zona libe*rada – strefę* w*yzwoloną (rzecz jasna przez terrorystów) i w Puno nad jeziorem Titicaca mogłem wsiąść do pociągu, by przez Juliakę, przełęcz La Raya (4400 m n.p.m.), Sicuani i Urcos (nie mylić z Indianami Uros!) pojechać do Cuzco. Stamtąd, zaraz na następny dzień, z samego rana, ze stacji San Pedro wyruszyłem do legendarnych ruin. Przepełniony pociąg, wgryzając się coraz dalej, coraz bardziej mozolnie w dolinę Urubamby, mijając ośnieżone pięcio- i sześciotysięczniki, przemierzał najpiękniejszą część Andów.*

Z jednego trzeba zdać sobie sprawę: Andy to góry, które wyrastają wprost z oceanu. Przed nimi cały kontynent, który czymś trzeba wypełnić. Pozbawia to krajobraz wszelkich skrupułów i kompleksów – jego kontury rozwijają się tu bez pośpiechu, z pewną nonszalancją; góry mogą pozwolić sobie na wszelkie dziwactwa i ekstrawagancje. Gdy po raz pierwszy ujrzałem je z bliska, nie z pociągu, lecz zza szyby samochodu na trasie z Nazca do Arequipy, zapisałem w notatniku:

„Że ma kły, pazury – wiedziałem od dawna. Dziś jednak wyszło to na jaw jak nigdy, potwierdziły się bardziej

domysły niż pewność. Nadęła się, zarżała, rozpuściła i nastroszyła włosy dotąd zaplecione w warkoczyki, wytargała z nich kolorowe pasemka wełny – takie jakie noszą tutejsi Indianie. Kto? ONA. PRZYRODA. Tu, gdzie Andy wychodzą na brzeg z morza nie z szelfu, z mielizny, lecz prosto z siedmiotysięcznej otchłani i natychmiast setkami metrów nieomalże pionowego zbocza strzelają w niebo. A gdy byłem pewny, że już nic nie jest w stanie mnie zdziwić, okazało się, iż była to nie tyle skóra, co naskórek kontynentu, a gdy poczęliśmy wdzierać się w głąb jego brzucha, widowisko rozpoczęło się na dobre. Pełzaliśmy wąwozem, przełęczą, a po drodze było dosłownie wszystko; na samym końcu – piekło. Na kilka godzin dano nam doń przepustkę, a potem pokazano, jak się zeń wyczołgać: pustynią, zieloną naroślą wodę czerpiącą nie wiadomo skąd, doliną żółtą jak banan, czerwono-sinymi wydmami, które ja – idiota! – początkowo brałem za stosy nawiezionego nie wiadomo przez kogo, nie wiadomo jakim sposobem cementu! Dopiero teraz uświadomiłem sobie wielkość i przepaścistość tego kontynentu, donkiszoterię całej reszty. Ta twarz tak piękna, a tak okrutna! Tak uwodzicielski ma makijaż! I tylko samochody, które szutrową drogą nadbiegały z naprzeciwka przypominały, że nie dostałem się pod podszewkę świata, a jeżeli już – że mimo wszystko jest stąd jakieś wyjście. Przez dziesięć godzin jechałem przez dziesięć różnych Księżyców, a każdy z nich był siedzibą innego boga"...

Tu, w Dolinie Urubamby – w Świętym Wąwozie Inków – było tak samo. Krajobraz powalał rozmachem, odwagą, urodą. Jak zaczarowany (to chyba najwłaściwsze słowo) stałem przy otwartym oknie i wraz z wdzierającymi się do wnętrza wagonu twardymi, dobrze umięśnionymi haustami górskiego powietrza, chłonąłem go.

Twarzą.

Wyciągniętymi na zewnątrz dłońmi.

Rozpychanym wiatrem kołnierzem.

Całym sobą.

I nie – nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby tak już było wiecznie, po sam koniec świata!

Aż, o włos, z tego wszystkiego zapomniałbym, że gdy za Ollantaytambo wagon na krótką chwilę zatrzyma się przy tak zwanym – licząc od Cuzco – kilometrze 88., muszę wrzucić plecak na ramiona i wyskoczyć z pociągu...

ORCHIDEE I KONDORY

Stacja nazywa się Qoriwayrachina – Ten, Który Wypłukuje Złoto Ze Strumienia. Dokładnie osiemdziesiąt osiem kilometrów od Cuzco. To właśnie tu trzeba wysiąść.

Przepychamy się przez tłum indiańskich ciał. Kolanami torujemy sobie drogę między workami. Nasze plecaki zahaczają o sprzedawców parującego *rocoto*[1] zawijanego w bananowe liście. Pociąg wjeżdża w tunel i gwałtownie hamuje. Równowagę łapiemy dopiero nad wiadrami pełnymi purpurowej „cziczy". Pod nogami trzepocą się spętane kurczaki i koguty. Na nasze głowy sypią się przekleństwa w miejscowej odmianie keczua. Tymczasem trzeba się spieszyć: pociąg zatrzymuje się ledwie na trzydzieści sekund.

Allen, Andy i ja. Zeskakujemy z wysokich schodów wagonu koloru skórki pomarańczy. I zaraz okazuje się, że nie jesteśmy sami. Grupa liczyć będzie dwadzieścia osób z co najmniej ośmiu krajów. Australijczycy, Amerykanie, Szwed ze Sztokholmu, Hindus z Bombaju, Argentyńczyk i Urugwajczyk z Montevideo. Jest też Grek, a raczej Kreteńczyk, który twierdzi, że jest prawnukiem Alexisa Zorby. Zresztą nikt nikogo o takie rzeczy nie pyta. Tu w doli-

[1] rocoto – (hiszp.) pikantna papryka napełniona mięsnym farszem.

nie Urubamby ważniejsze od paszportu są kapelusze z szerokim rondem, sznury muszelek na szyi i uśmiech pod tygodniowym zarostem; na nasypie przybywa wymiętych postaci wyplutych z czeluści najwcześniejszego pociągu relacji Cuzco–Santa Ana.

W oczy rzucają się najpierw góry i kaktusy.

Góry – mieszanina fioletu, różu i wilgotnej zieleni, nieokiełznana, wsparta na skalnych żebrach, zbiegających stokami ku dnu doliny, o opływowych kształtach, jak wzorowo napięte płótno cyrkowego namiotu; kaktusy – szerokoramienne świeczniki, jeżaste z każdej strony, najbardziej jednak kolczaste od góry, koloru suszy i trawy tkwiącej pod celofanem w zielniku, lecz tak silne, tak muskularne, tak królujące. Wśród nich znajduje się stacja.

Składa się ona z jednego toru, drewnianego baraku, przekupniów sprzedających tresowane małpy, z których można ugotować rosół tak słodki jak miód, oraz z mdłego zapachu, dławiącego i ciągnącego się jak guma. W dole – spieniony nurt Urubamby. Rzeka jest napuchnięta wielotygodniowym deszczem i niesie pnie wyrwane z brzegów. Wzrokiem szukam mostu. Jest. Trzysta, może czterysta metrów w górę nurtu, zawieszony na stalowych linach, zbudowany na wzór tych sprzed stuleci, inkaskich, z hiszpańska zwanych teraz *la oroya*. Mało egzotyczny, za to bardzo drewniany. To ostatni ślad cywilizacji. Dalej, na drugim brzegu, będzie tylko droga.

Mniej niż droga – ścieżka.

Dróżka wiodąca w czasy, gdy kukurydziane kolby liczono na węzełkach, lenistwo karano śmiercią, a na rozkaz Inki podwładni byli gotowi z miejsca na miejsce przenosić góry. Ścieżka wydeptana przed ośmioma stuleciami, na długo przed Kolumbem, za panowania Inki Roca. Jedna z niezliczonych odnóg całej ich sieci, która niegdyś łączyła najodleglejsze zakątki inkaskiego imperium – Tawantinsuyu.

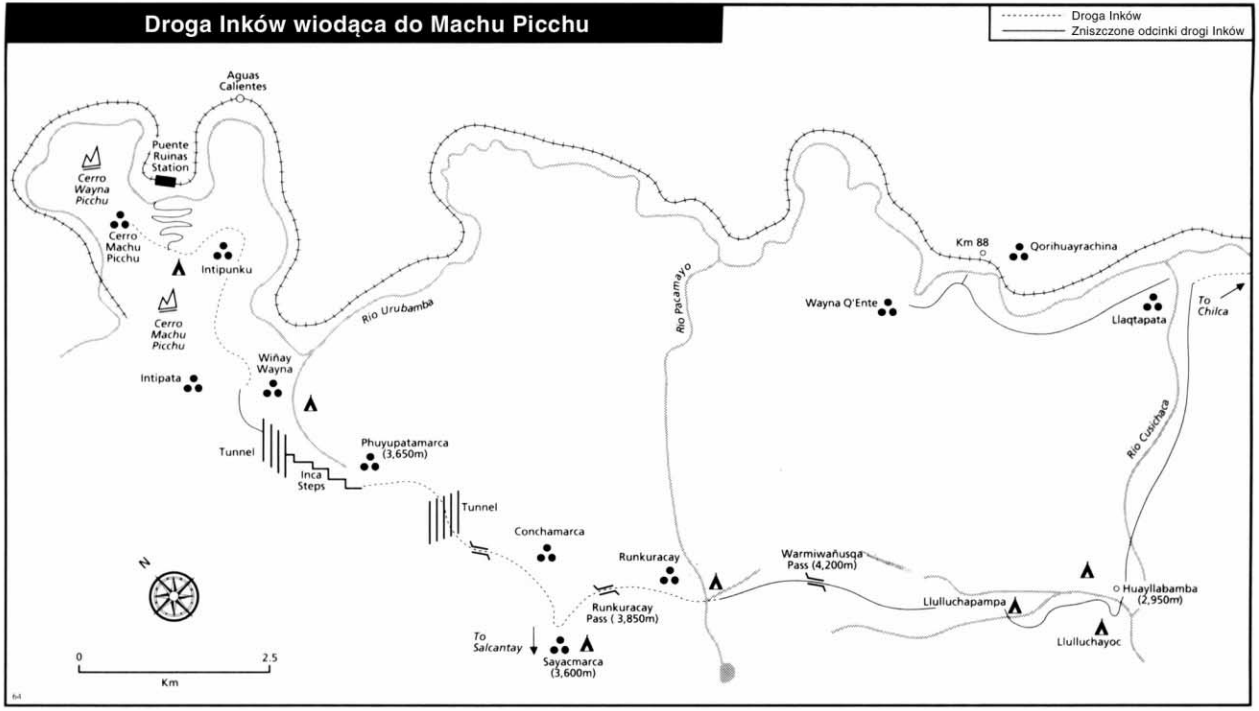
Droga Inków wiodąca do Machu Picchu
Droga Inków
Zniszczone odcinki drogi Inków
Aguas Calientes
Puente Ruinas Station
Cerro Wayna Picchu
Cerro Machu Picchu
Intipunku
Cerro Machu Picchu
Intipata
Wiñay Wayna
Tunnel
Inca Steps
Phuyupatamarca (3,650m)
Tunnel
Conchamarca
Runkuracay
Runkuracay Pass (3,850m)
To Salcantay
Sayacmarca (3,600m)
Rio Urubamba
Rio Pacamayo
Km 88
Qorihuayrachina
Wayna Q'Ente
Llaqtapata
To Chilca
Rio Cusichaca
Warmiwañusqa Pass (4,200m)
Llulluchapampa
Huayllabamba (2,950m)
Llulluchayoc
N
0
2.5
Km

Przez pięć dni – przełęczami, z plecakiem, namiotem, żywnością w puszkach i plastykowych workach, szlakiem sięgającym do samego nieba, ścieżkami zawieszonymi nad przepaściami, przez dwadzieścia dziewięć potoków – będziemy wędrować jak indiańscy *chasquis* – posłańcy zmierzający do miasta, które do dziś spowite jest niejedną tajemnicą. Do Machu Picchu.

Dzień pierwszy

Przed nami trzy przełęcze. W sumie – 53 kilometry. Pierwsza Warmiwanusqa – Przełęcz Martwej Kobiety jest najtrudniejsza. Długie, strome podejście. Kamieniście, w sam raz na grube podeszwy butów. Umiejętnie rozłożyć siły. Iść krok za krokiem. Nie tracić rytmu. Piąć się w górę bez przerwy i odpoczynku; podobno ci, którzy nie przestrzegają tego abecadła, po dwóch dniach wracają do kilometra 88. Przy torze czekają na pociąg wracający do Cuzco.

Od nich też – tych, którym się nie powiodło – wiadomo, że wody na trasie jest dość. To ważne. I jeszcze – czerpać ją najlepiej z dopływów, możliwie najbliżej źródła; tylko tam, gdzie wyżej nie ma zagubionych wśród stromizn osad. Pogoda, choć mglista, robi wrażenie ustabilizowanej. Może uda nam się dotrzeć do celu między kolejnymi oberwaniami chmury. To życzenie-zaklęcie. Inaczej grozi nam brnięcie w bagienku po łydki, jeżeli nie po kolana...

Druga przełęcz – Runturacay – Kapelusz Z Ptasiego Jaja jest znacznie krótsza, łatwiej dostępna. Lecz zejście na dno pierwszego kotła ma złą sławę łamacza nóg. Na trzech czwartych podejścia – na kamiennym tarasie – szczątki inkaskiego *tambo* – zajazdu dla znajdujących się na trasie gońców. Dziś to tylko ruiny, lecz łatwo je odnaleźć, widoczne są z daleka. Miejsce nadaje się na rozpalenie ogniska lub schronienie przed nadciągającą nawałnicą.

Trzeciej przełęczy – której nikt do tej pory nie nadał nazwy – prawie... nie ma. To raczej uskok tektoniczny, przegięcie górskiego grzbietu. Wejście nań nie powinno sprawiać większych problemów. To – po prostu – kilka łagodnych zakosów. Selwa podpełza tuż, tuż. Przydatne mogą okazać się wysokie cholewy i szeroko otwarte oczy. Właśnie tu najłatwiej o ukąszenie zielonkawych żmij.

Między nas i góry napływają strzępy gęstej mgły. Początkowo to tylko pojedyncze, luźne warkocze bieli, lecz stopniowo jest ich coraz więcej. Powietrze zmienia się w białą watę i skaliste stoki giną, jakby świat ręką kata pozbawiony został głowy.

– *Allinmi!*[1]

– *Allillanchu!*[2]

Indianie sprzedający kamienne amulety – bóstwa opiekuńcze szlaku – pozdrawiają nas w języku keczua. Tak naprawdę język ten nazywa się *Runa Simi* – Usta Człowieka i tylko przez nieporozumienie nazwany został jak wysokogórska strefa klimatyczna. Przez Inków zapożyczony od tubylców z prowincji Ancash. Na tym szlaku to więcej niż język urzędowy. To język onomatopeja. Jak mowa wiatru i szmer kamieni osuwających się stromiznami. Jak mowa dzieci, które na złość starszym wymyśliły własne narzecze. Jest częścią krajobrazu. Częścią tych gór. Częścią drogi, którą ruszamy. Echo kosmosu, który tu zaczyna się bliżej niż gdzie indziej – zaraz nad ośnieżonymi szczytami.

– *Sumaq punchey!*[3]

– *Dionisquchu munanki?*[4]

W słowach tych jest temperatura podniebnych przestrzeni i kolor gór, któremu nie jest w stanie sprostać żadna paleta. Na przykład przyrostek *ylla* nadaje wyrazom

[1] allinmi – (keczua) powitanie.
[2] allillanchu – (keczua) odpowiedź na powitanie.
[3] sumaq punchey – (keczua) piękny dzień, odpowiednik „dzień dobry".
[4] dionisquchu munanki? – (keczua) chcesz kupić posążek bożka?

drżenie małych, chitynowych skrzydeł zmieniających się w mgiełkę w czasie lotu; *illa* – to zaś nazwa pewnego – tylko Indianom znanego – rodzaju światła, odblasku tak ostrego, iż można nim zadawać bolesne, trudno gojące się rany. A najstarsi z tubylców twierdzą, że są w języku tym słowa, w których jak w kokonie tkwi nadal to, co od dawna już nie istnieje: *amak'ay* – to ogon ptaka, który już dawno wyginął; *awankay* – to dziki kwiat koloru tak złotego, że nie sposób pokazać go palcem; *rattanik* – to wzrok czarownika, pod którym kamień może zamienić się w... złoto!

– *Imaynan kashanki?* [1]

– *Allinmi. Qanri?*[2]

Są też w języku tym słowa – u mieszkańca sierry natychmiast wywołują uśmiech zrozumienia – dla obcego nieprzetłumaczalne, wzbudzające zdziwienie: *illarichiy* – odbijać, lśnić, lecz tylko w ten jeden i niepowtarzalny sposób; *mumuy* – nie tylko kiełkować, ale i przekraczać granicę kiełku; *phachiriy* – to otwieranie się kwiatu, a jednocześnie dźwięk rozkwitania, stopniowe napełnianie się kolorów; *rojyay* – odgłos żabich krtani, odgłos wody przepływającej w strumieniu...

Mijamy nawołujących przekupniów. Statuetki mające chronić przed uderzeniem pioruna nie interesują nas; trzy pudełka zapałek wymieniamy na brezentowy woreczek pełen suszonych liści. To koka. *It is not narcotic – it is stimulant* [3] – podpowiada angielska książka przewodnik. Potrzebny jeszcze ów kamień – *llibta* – wapień andyjski koloru popiołu, którym zagryzać trzeba liściasty susz. By tłumił pragnienie, by tłamsił głód, mięśniom dodawał hartu i sprężystości. Cena: pięć metalowych guzików. Dostajemy go od strażnika pilnującego mostu.

---

[1] imaynan kashanki – (keczua) jak się masz?

[2] Allinmi. Qanri? – (keczua) dobrze, a ty?

[3] It is not... – (ang.) to nie narkotyk, to używka.

Nasze kroki kołaczą na drewnianych belkach zawieszonych na dwóch stalowych linach. Przekraczamy rubikon – granicę między dziś a przedwczoraj.

Droga jest najpierw leśną ścieżką.

Zaraz za mostkiem skręca na wschód. Wije się wśród zieleni – wśród kolczastych krzewów o twardych, a mięsistych liściach; pośród kaktusów i kęp promieniście wyrastających liści, przywodzących na myśl sztylety. Podchodzi pod sam skłon grzbietu, wyrastającego z dna doliny, w której położono tory.

Grupa rozsypuje się. Choć teren jest jeszcze płaski, sznureczek postaci z garbami różnokolorowych plecaków rozciąga się. Giniemy sobie wzajemnie z oczu. Będzie tak już do końca, aż do Machu Picchu, po Inti Punku, czyli – inną niż w Tiahuanaco – Bramę Słońca, skąd widać już miasto niczym kamienne gniazdo zawieszone nad przepaścią. Choć razem – każdy będzie szedł osobno. Własnym krokiem i tempem. Uzbrojony we własny sposób na zmęczenie, sztywniejące mięśnie i coraz rzadsze powietrze. Spotykać się będziemy tylko w południe i wieczorem, wspólnie gotując posiłki i szukając miejsc nadających się na rozbicie namiotu.

Droga, którą idziemy, nazywa się *Yawar Nan*: Droga Krwi.

Nazwy zawierające słowo krew należą do ulubionych sformułowań w języku keczua: *Yawar Unu* – Krwawa Woda; *Puk'ti Yawar K'ocha* – Jezioro Wrzącej Krwi. *Yawar Wek'e* – Krwawa Łza. To nazwy potoków, skalnych iglic i stawów o wodzie jak płynny kryształ.

Yawar Mayu – Rzeka Krwi – mówią Indianie na wzburzony nurt rzeki (bo lśni w słońcu jak świeżo tryskająca krew) i na ekstatyczny taniec wojenny, w którym przebrane postacie krzyżują ze sobą wyostrzone lance. *Yawar Nan* znaczy więc tyle co droga, która faluje, gnie się, ginie. Która zwisa nad przepaścią. Która cię porywa, a gdy trzeba – zwija się w spirale wykutych, skalnych schodów.

Nikt nie wie, kto właściwie nadał jej tę nazwę.

Odkrył ją Hiram Bingham w roku 1915, gdy po raz kolejny powrócił do Peru, by uzupełnić dokumentację wykopalisk w Machu Picchu. Indianin Ricardo Charaya z Santa Rosa (tak jak twierdził Enrique Poli!) wskazał mu ścieżkę do pomniejszych ruin na południe i wschód od głównego kompleksu. Tak też natrafiono na ślady Królewskiej Drogi Antisuyu. Na jej odcinek zwany *Yawar Nan*.

Bo każda z inkaskich dróg nosiła nazwę jednej z czterech prowincji – jak chce keczua – dzielnic. Antisuyu, Cuntisuyu, Chinchasuyu, Collasuyu – cztery prowincje -dzielnice położone odpowiednio na wschód, zachód, północ i południe względem centralnie usytuowanej stolicy – Cuzco – rozciągały się cztery tysiące kilometrów z północy na południe; tysiąc pięćset kilometrów ze wschodu na zachód. By zapewnić sprawne działanie tak rozległemu organizmowi państwowemu wśród dzikich gór i wciskającej się dolinami selwy, Inkowie podjęli się zadania rozmachem dorównującego budowie rzymskich akweduktów: budowali drogi. „Są one – pisał kronikarz Pedro Cieza de Leon – tak słynne jak trakt Hannibala w poprzek Alp".

Weźmy do ręki na chwilę mapę Ameryki Południowej.

Droga Chinchasuyu – o długości 2010 kilometrów – prowadziła z Cuzco do Quito. Później rozbudowano ją po rubieże dzisiejszej Kolumbii. Jej odgałęzienia docierały do Tumbez i Pachacamac. Droga Cuntisuyu biegła ze stolicy imperium do Nazca, gdzie skręcała na południe i sięgała do Arequipy. Droga Collasuyu – 5320 kilometrów – biegła brzegiem jezior Titicaca i Popo, łączyła Cuzco z pustynią Atacama i dzisiejszą Mendozą w północnej Argentynie. Południowa jej odnoga – via Calama i Capiago – kończyła się na rzece Maulle w Chile. To punkt graniczny inkaskiego państwa. Natomiast droga biegnąca brzegiem Pa-

cyfiku – pół tysiąca lat później – miała służyć za fundament... szosy panamerykańskiej.

Nazwa „droga" może być zresztą myląca.

To prawda, że wielokilometrowe jej odcinki miały szerokość od pięciu do sześciu metrów. Że na obszarach nawiedzanych przez częste ulewy była brukowana. Że w górach tworzyły ją często niekończące się spirale wykutych w kamieniach schodów, a nad przepaściami biegła zawieszonymi na linach mostami. Że znane są nawet cztery tunele, z których najdłuższy liczy 30 metrów. Że na najczęściej przemierzanych odcinkach – co 20, 30 kilometrów – budowano *tambos*. Że najlepiej do dziś zachowany jej fragment, 13 kilometrów na wschód od wsi Shelby, ma z obu stron równo położony krawężnik i rynny odprowadzające nadmiar deszczowej wody. Lecz to raczej wyjątek niż reguła. Najczęściej była to zaledwie ścieżka.

Ścieżka wśród gór.

Taką właśnie ścieżką jest *Yawar Nan*: Droga Krwi.

W roku 1942 została spenetrowana przez Viking Expedition szwedzkiej fundacji Wenner Gren. Paul Fejos – jej uczestnik – wyniki opublikował w USA. Później, w roku 1968, peruwiańska grupa dr. Victora Anglesa poprowadziła dalsze badania.

Od tego czasu datuje się sława owego szlaku pełnego zarośniętych ruin i niezapomnianych widoków. Nie jest w stanie sprostać im żadna kamera, żadne pióro. Został on rozpropagowany w wielojęzycznych przewodnikach o wysokich nakładach: *You will never forget the Inca Trail* („Exploring Cuzco", 1980, str. 97); *You would not find yourself too tired to enjoy what you see* („South American Handbook", 1991, str. 698); *Inca Trail makes a spectacular 5-6 day trip* („Backpacking in South America", 1992, str. 98); *The trail itself must be one of the lovelies routs in the world* („The Inca Trail", 1997, str. 107).[1]

[1] odpowiednio od góry – (ang.) nigdy nie zapomnisz Drogi Inków; nie będziesz zbyt znużony, by móc podziwiać to, co widzisz; Droga Inków stanowi niezapomnianą eskapadę; Droga Inków jest jedną z najwspanialszych tras świata.

Leśna ścieżka zmienia się w górski szlak.

Zaraz za strumieniem Cosichaca zaczyna się łagodne podejście. Lecz to tylko podstęp. My tych podstępów jeszcze nie znamy i łykamy haczyk: łagodność liczy tylko kilkaset metrów, potem zmienia się w... Właśnie – mówiąc najkrócej – zbocze jest strome, przeważnie jeszcze pionowe. Nieznana ręka ułożyła tu kamienie w schody dla olbrzymów. Na szczęście w każdym z nich wydrążono kilka ich mniejszych braciszków.

Inaczej żaden *chasqui* nie przeszedłby tędy.

Inaczej trzeba by bić haki w szczeliny, a przecież Inkowie nie znali ani żelaza, ani stali.

Zastosowano też stary trik: ścieżka biegnie niekończącymi się zakosami, na których za każdym nawrotem zyskuje się nie więcej niż pół metra wysokości. Wijąc się, dróżka wgryza się pracowicie w stromiznę i skalną niedostępność; każda fałda i rysa staje się jej sojusznikiem.

Tuż za zakrętem, po lewej, muszą się znajdować ruiny miasta Llactapata – Miasta Na Miejscu. Nikt nie jest jednak w stanie odszukać go wzrokiem. Nikt nie ma nawet na to ochoty: ścieżka zmusza do wspinaczki z twarzą zwróconą ku zboczu. O półobrocie nie ma mowy.

Plecak ciągnie w dół. Ten dół to dolina koloru wilgotnego mchu. Na jej dnie znajduje się kopulasta skała. Gdy zmrużyć oczy – przypomina głowę pumy. To jedno z 327 „miejsc szczególnych" zlokalizowanych niegdyś przez *tarpuntakuna* – nadwornych astronomów Inki. *Tarpuntakuna* stworzyli system *ceques* – współśrodkowych, wyimaginowanych kół, których środek znajdować się miał w Cuzco, w Świątyni Słońca, oraz linii wyznaczających na horyzoncie punkty wschodów i zachodów Słońca i Księżyca. „Punkty szczególne" – jak ten, który zostaje za nami w dole – to święte miejsca na liniach promieniście biegnących ku horyzontowi.

Słowem – *tarpuntakuna* poprowadzili dalej szaleństwo zapoczątkowane w Nazca.

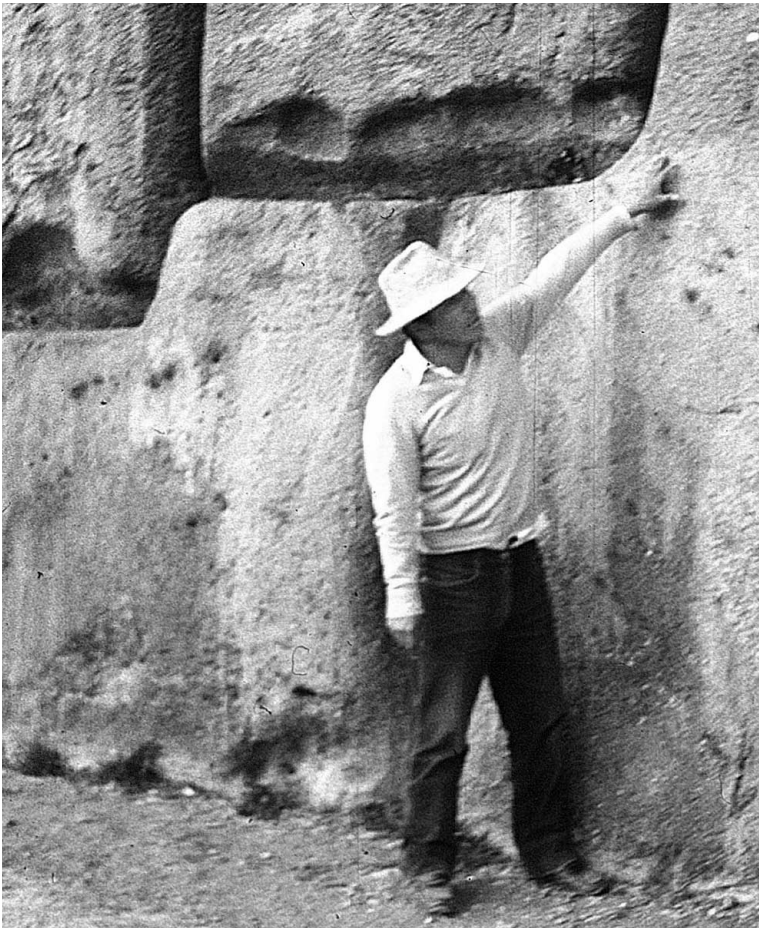

Gdy stanie się przed cyklopami wśród kamieni zestawionych w trójpoziomowy bastion fortecy Sacsayhuaman...

Teraz zaczyna się mordęga. Krok za krokiem. Mimo to oddech świszczy jak indiański flet. Okazuje się, że jest to metoda – wyprzedzam wszystkich, choć pełznę. Tajemnicą tego pełzania jest to, że pełznę bez przerwy. Tak pełznącego łapie mnie mżawka, a właściwie jedno ze skrzydeł nisko zawieszonej chmury. Siedząc po drzewem, my-

ślę o gniotących paskach plecaka. Od tej chwili będzie to mój ulubiony temat utyskiwań. Wagę zagadnienia zrozumiem dopiero nazajutrz, gdy ramiona – tam gdzie łączą się z obojczykami – wypowiedzą wojnę paskom. Bo tylko ja będę ponosił konsekwencję tego konfliktu. Tylko mnie będzie bolało.

Ci z dołu doganiają mnie. Idę, pnę się i znowu – pełz, pełz – wyprzedzam. Jest coraz wyżej – tak, to niewątpliwie mój pierwszy krok w chmury. Nad strumieniem odnajduję polankę. Z Allenem i Andym, na pusty żołądek, jemy krakersy i jedną konserwę na trzech. Sytuację ratuje *mate de coca* – herbata z liści trzymanych w brezentowym woreczku. Nie wiadomo skąd przybiegają dzikie świnie i domagają się krakersów. Nie do końca są więc dzikie; to znak, że do wsi Huayllabamba – Trawiasta Równina – już nie tak daleko.

Zanim tam dotrzemy, robi się na chwilę jeszcze bardziej kamieniście. Na tym kamiennym szlaku natrafiamy na *campesinokuna* – wieśniaków – i ich dwa konie wytresowane tak, aby nie odczuwały zawrotów głowy. Twarze ludzi spalone są słońcem i mają kolor górskiego zbocza. To ostatnie spostrzeżenie przypomnę sobie znacznie później, gdy na kartce napiszę obok siebie dwa słowa:

Rumi i *runa*.

Czyli – kamień i człowiek.

Już sam język podpowiada, jak blisko są ze sobą spokrewnieni.

Gdy przemierza się wzgórza otaczające Cuzco, gdzie prawie każda skała nosi ślady ludzkiej ręki, gdzie schody, platformy, nisze, krypty wycinano w granicie jakby krojono nożem ser, lub gdy stanie się przed cyklopami wśród kamieni zestawionych w trójpoziomowy bastion fortecy Sacsayhuaman, z których – za naukowcami – największy waży 364 tony, zadać sobie trzeba pytanie: jak to się właściwie działo, że skała była aż tak posłuszna człowiekowi?

Można odnieść wrażenie, że skalne bloki same chwytały się za ręce, ruszały w dół zboczy ku miejscu, gdzie dziś stoi miasto, by tu zlać się w kamienne prostokąty ulic i placów. Potem ze zdziwieniem stwierdza się, że nic innego jak właśnie to opowiadają w legendach Indianie: dla nich granica między człowiekiem i kamieniem praktycznie nie istnieje. Kamienie, ba... całe góry potrafią chodzić, tańczyć, śmiać się ludzkim głosem. Trzeba znać tylko odpowiednie zaklęcie. Jedno, pojedyncze słowo. Imię odpowiedniego Wawami. Bo „każda góra ma swojego Wawami; Wawami jest duchem gór; Wawami ukryty jest w każdym większym wzniesieniu, w każdym z górskich szczytów".

Także góry, które mijamy i w które wgryzamy się, pełznąc urwistym szlakiem, mają swoje Wawami.

– A jakże – potwierdzi to w kilka godzin potem człowiek, w którego chacie spędzimy pierwszą noc. Opowiadanie zacznie on od słów: *Dionisquichica seperawimi...*

Rzecz o duchach gór i górskich dolin.

Każda z gór ma swojego Wawami. Wawami karmi stada lam, ludziom zsyła własną krew – wodę. W nocy Wawami wychodzi z wnętrza góry. Odwiedza swych sąsiadów. Są nimi inne Wawami. Ubiera się w skórę kondora, a pióra na szyi ma wygolone aż po różowy naskórek. Chodzi w sandałach z dzikiego łyka i w spodniach z wełny wikunii. Nocą wielu już go spotkało. Jest wysoki, milczący. Chodzi długimi krokami, a brzegi strumienia zasklepiają się pod jego wzrokiem, by suchą stopą mógł przejść na drugą stronę.

Po dwudziestu minutach mamy tę kamienistość za sobą. Zaczyna się trawiastość, a następnie Trawiasta Równina – Huayllabamba, inaczej mówiąc – wieś. Liczymy kilometry, które zostały za nami. Pod nami. Mało. A jutrzejsze podejście ma być mordercze. Lecz teraz myślimy o tym, żeby się najeść i wcześnie móc iść spać. Tu będziemy no-

cować. Fama niesie, że miejscowy nauczyciel pozwala kłaść śpiwory na podłodze w szkole. Trzeba znaleźć nauczyciela.

Wieś składa się z chat, jakie widzieliśmy u wylotu doliny: są przysadziste, z czapą słomianego dachu o lekko wygiętych ku górze rogach; o ścianach z glinianych cegieł suszonych na słońcu, zwanych tu *adobe*; bez okien, ze smugą dymu przyczepioną do dachu, z dziko ujadającymi psami i stadkami udomowionych dzikich świń, dokładnie takich samych jak te z pierwszego popasu.

Pierwszy wieśniak, którego spotykam, natychmiast odgaduje moje intencje. Jest to mężczyzna niskiego wzrostu, o wąskich wargach, w filcowym kapeluszu z odartym rondem, brudnym wojłokowym poncho i spodniach sięgających do pół łydek. Nocować można u niego – mówi. Nie czeka na reakcję. Chwyta za plecak. Prowadzi do swojej chaty.

Jest mniejsza od pozostałych. To bardziej szałas niż domostwo. Ściany – niczym kosz – stanowią splecione ze sobą gałęzie. Wnętrze pachnie na przemian gorzkawo i słodko – dymem i świeżo wyciśniętym sokiem z mango. Palenisko otoczono kręgiem owalnych kamieni. Łóżko, podparte drewnianymi klocami, wypleciono z miękkich, trzcinowych prętów. Rozglądam się jeszcze chwilę, potem kiwam głową na „tak".

Dziś w nocy te gałęzie zamiast dachu będą moim domem.

Dzień trzeci

Schodek za schodkiem. A każdy z nich równo ociosany. Im wyżej, tym schody stają się szersze. 365 schodów. Jeden na każdy dzień roku. Raz w tygodniu, kamienna misa, prawie fontanna. Co siedem szczebli w kamiennej drabinie.

Pierwsze z trzech zaginionych miast na szlaku. Miasto W Górze – Sayacmarca, tyle znaczy ta nazwa. Miasto, któ-

re wisi na zielonej skarpie. Mała, gęsto zabudowana *pucara* – forteca. Schronienie dla ludzi z dwóch sąsiednich dolin na czas najazdu i walk. Niegdyś – rzecz jasna. Forteca -labirynt. Gdy wrogowi udało się przedrzeć za mury, każdy jej sektor mógł bronić się oddzielnie. Dziś w bramach – splecione liany. W oknach w kształcie trapezu – trawa sięgająca pół metra ponad głowę.

Jak ruiny wyglądały kiedyś?

Pierwszy był tu Hiram Bingham. Rok 1915. Potem – wraz z Viking Expedition – Paul Fejos. Potem... *inca trail hikers* – dokładnie tacy jak my. Gdy przeciskam się cienistymi uliczkami, które wyglądają jak omszałe rynny, stada nietoperzy podrywają się do lotu. Z szeroko rozwartych, czerwonawych krtani wyrywa się ich pisk tak ostry, że go wcale nie słychać. A gdy idę jeszcze wyżej, ku wierzchołkowi, zarys murów staje się bardziej zrozumiały: jest dziób, rufa, wyrwa w burcie, którędy – niczym woda – wdziera się roślinność.

Widać nawet wyłamane maszty!

Ruiny jak okręt na dnie Zielonego Oceanu. Nietoperze niczym latające ryby uderzające o kamienny pokład.

To koniec trzeciego dnia wspinaczki. Już się zmierzcha. Nocleg na piaszczystej półce skalnej wznoszącej się ponad strumieniem. Tak ciasno, że linki namiotów wiążemy do gałęzi drzew. To o 365 schodów wyżej, o trzy rzuty kamieniem przez zarośla nazywane „rzęsą dżungli". O jedną przełęcz i dzień bliżej celu. Znad płomienia ogniska obserwujemy, jak horyzont pod ręką zapadającego zmroku i mgły wychodzącej zza drzew, z kiczu przeradza się w arcydzieło. Aż nadchodzi Godzina Skrzydeł Świecących W Ciemnościach...

Chmurami, jak sztuczne ognie rozpryskujące się na boki, nadlatują. Skrzydło przy skrzydle. Ćmy, które fosforyzują, które mogą uchodzić za cud ożywionej przyrody. Napływają z zewsząd, rozlewa się całe ich morze. Mimo

ciemnej nocy – skrzydłami przynoszą ze sobą dzień; w ich blasku z powodzeniem można czytać książkę! Lub po prostu patrzeć: skrzydło przy skrzydle. Widowisko jakiego nikt z nas jeszcze nie widział.

Zapisuję w notatniku: *Droga spada jak kamień rzucony w otchłań. Spadamy razem z nią. Nasz marsz to lot skalnych okruchów, które zatrzymują się dopiero na dnie przepaści. Spadamy tak przez najbardziej spadziste góry świata: dwa dni, bez przerwy, spadać będziemy do celu. Całym sobą stajemy się ziemskim przyspieszeniem. Zanim wypowiesz zdanie – już jesteś przy kropce.*

By mogło być tylko w dół, najpierw musi być pod górę.

I jest.

Bo najpierw jest jeszcze przełęcz i cały dzień, który streścić można w czterech słowach: SZLIŚMY WCIĄŻ POD GÓRĘ. Wąwóz, który nazywa się Llauchuacha. Strumień, który tworzy kaskady. Selwa, która gęstnieje. Gęstwina, która jest coraz bardziej kolczasta. Drzewa, które pośród kolców mają najprawdziwsze brody. Gąszcz, parująca zeń wilgoć, szmer budzącego się ze snu po rozkrzyczanej nocy Wielkiego Lasu, nazwanego „pączkującą dżunglą". Gniazdo os, które spada na plecy Andy'ego. Żądła, które zamiast grotów mają potrójną zadrę jak dziewiętnastowieczny harpun. Biegunka koloru krwi, która usidla Allena. Nocleg na polance, która jest wyzwoleniem z wewnętrznego nakazu: wyżej, wyżej, jeszcze wyżej. Kilometry, które trzeba dodawać. Dwie puszki, które nikomu nie smakują. *Mate de coca*, której picie jest już rytuałem. Noc, która jest za krótka. Ranek, który jest przełęczą.

A przełęcz jest bezlitosna.

Kwadrans za kwadransem – jestem pewny, że to już tuż, tuż. Tymczasem przybywa nawrotów. Ścieżka wije się zakręt za zakrętem. Ta góra, pod którą idę, nie chce się przybliżyć nawet o krok.

Jak na nią dopełznąć?

Pełzając. Czy to nie proste?

Tak też się dzieje.

Pełz, pełz. Zakręt. Nawrót. Znów zakręt. I nawrót. I jeszcze raz. Potem można zacząć od nowa. Słońce nad głową. Wiatr prosto w twarz. Ile, ile jeszcze zostało? Trzy zakręty. Dwa kaktusy wśród kamieni. Jedno spojrzenie w dół, za siebie: cała góra pode mną. Czy może być jej jeszcze więcej? Czyżby więc...? Ty niepoprawny optymisto! Lecz to już naprawdę nie może być daleko. Tylko dwa razy ogarnie mnie całkowita pewność, że wyżej być już nie może. Tylko dwa razy za każdą z tych pewności odnajdę ciąg dalszy skalistego skłonu. Aż... zechcę iść jeszcze wyżej, ale po prostu się nie da. Wszędzie będzie już tylko niżej. Jama ogromnego kotła. Kilometr niczego, zaczynającego się tuż pod stopami. Kilometr roziskrzonego słońcem powietrza. Przegięcie i siodło: przegięcie między szczytami.

Przełęcz.

Jest około wpół do dwunastej.

Najwyższy punkt na szlaku. 4300 metrów w górę, w pionie, od Pacyfiku.

Zaraz potem ścieżka zmienia się w drogę, której w ogóle nie ma. Bo rozmyła ją woda, zasypały kamienie. W pamięci pozostał tylko jeden kierunek: w dół.

Jest spadziście. Wręcz szpiczaście. Na poboczach jakoś selwiasto. Od Sayacmarca do Phuyupatamarca droga wiedzie pośród kwiatów. Mają kielichy. Mają kwieciste korony. Są jak słoneczne promienie. Płatki jak motyle skrzydła i papuzie ogony. Pachną jak miód koloru pierza młodych flamingów. Są też osty. I liście koloru szynszylej skóry. Suche odłamki gałęzi, które niespodziewanie ożywają: to jaszczurki z kościaną naroślą między parą czarnych kulek zastępujących im oczy.

Phuyupatamarca znaczy Miasto Nad Chmurami. To największe w tej części Ameryki Południowej sanktuarium wody, deszczu, urodzaju. Sześcioma kamiennymi rynnami woda czerpana wprost z chmur i porannej mgły

spływa ku basenowi. Niegdyś na jego powierzchni pływały sztuczne wyspy z sitowia. Kapłańska ręka pielęgnowała na nich kukurydziane kolby i drobne fasolowe strąki. Ich brunatna łuska, gdy palono ją na ofiarnym ołtarzu, dawała dym i zapach niczym andyjskie kadzidło. Wzdłuż rynien biegną schody – sześć kamiennych promenad. Takie same jak te, które zobaczę w Wiñay-Wayna.

Dzień... – który?

Wiñay-Wayna – czyli Wiecznie Młody. To imię małej orchidei o czerwonych płatkach. Przed stuleciami ozdabiano nimi diadem Inki w czasie ceremonii koronacji władcy. Dziś kwiaty te zdobią stoki doliny, na której dnie płynie Urubamba. Rosną także pośród omszałych ruin. Stąd ich nazwa.

To miasto o niezrozumiałym czarze. Chodzimy jak urzeczeni, rozgarniając gałęzie przegradzające kamienne portale. Przez całość zabudowy, symetrycznej jak rozłożony wachlarz, biegną kilkudziesięciometrowej długości schody. Od nich, na różnych poziomach, rozchodzą się przecznice wiodące ku domostwom o zachowanych rusztowaniach, które w przeszłości miały służyć za oparcia dla słomianych i trzcinowych dachów. Ponoć było to niegdyś więzienie, gdzie przestępcom pozwalano umierać, choć wolno i przez długie lata, jednak bez szczególnych tortur. I tu nie ma jednak zgodności – dla wielu to przysłowiowa wieża z kości słoniowej. Miejsce rozmyślań inkaskich mędrców, których pomysły i koncepcje urzeczywistniać miano cztery i pół kilometra dalej na północ, za trzema zakolami rzeki. W Machu Picchu.

Dzień ostatni

Do celu docieramy następnego ranka. Wcześnie, bo około szóstej, razem z *Tayta Inti* powracającym do nas zza strzępów chmur i ośnieżonych szczytów. Pozostaje nam

kilka godzin do przybycia codziennej porcji turystycznej stonki, która stadnie nadciągnie pociągiem.

Ostatni obóz w Mieście Jak Człowiek Wiszący Nad Przepaścią zwijamy na długo przed świtem. Ścieżka, ciemność i wilgoć: pytanie – kiedy wreszcie? A wilgoć sięga najpierw kostek. Potem kolan. Obejmuje biodra. Gdy dosączy się na wysokość piersi – będziemy na miejscu.

Widzimy je najpierw z Inti Punku – pierwszej bramy wielkiego miasta, z której pozostały tylko dwa kamienne obeliski. W dole – Machu Picchu zza chmur, Machu Picchu – miasto koloru mchu; miasto, które ukaże się za chwilę. Ostatnie pół godziny to spadanie. Na dodatek – biegiem.

Ruiny dzielą się na pięć sektorów, pięć dzielnic – każda o innym charakterze i przeznaczeniu. Ja jednak szukam przede wszystkim modelu koła. Inkowie koła nie znali. A mieszkańcy Machu Picchu byli o krok od wielkiego odkrycia. To nie tyle koło, co jego prototyp. Jeszcze się nie toczy. Jest wydrążone w skale. To kamienny rysunek, płaskorzeźba, której inspiracją – według najnowszej hipotezy Garcii Gonzalesa – miał być zdeformowany kształt... ziarna fasoli!

Odnajduję to miejsce – koło w dwóch i pół wymiarach, nawet z zaznaczonym miejscem na osadzenie osi. Eureka, do której tak niewiele zabrakło. Którą urwano w pół słowa...

Wiele wskazuje na to, że w przeszłości było to miasto intelektualistów i eksperymentatorów. Intihuatana – słoneczny ołtarz to kamień ociosany tak skutecznie, że Słońce – dzienna gwiazda – powraca od stuleci co dnia, że oddala się od Miasta Kamiennych Schodów najwyżej na odległość jednej nocy; uwalnia – tak samo jak szaleńczy kalendarz z Nazca – od największej niepewności, od egzystencjalnego strachu, który nieobcy musiał być także starożytnym. Czy jutro aby na pewno znów wzejdzie Słońce?

Tablica ku czci oficjalnego odkrywcy Machu Picchu – Hirama Binghama

Wzejdzie.

Na pewno.

Intihuatana – Kamień Przywiązujący Słońce Do Ziemi jest tego najlepszą gwarancją. W najgorszym wypadku Słońce schowa się za chmurami, albo – jeśli będzie się miało pecha – spadnie deszcz.

Cały dzień chodzimy po ruinach. Nad Huayna Picchu – szczytem jak grot wymierzonym w niebo – krążą trzy kondory. Na stokach doliny, która zmierzając ku nitce wijącej się w dole Urubamby, jest jakby klinem wycelowanym do wnętrza ziemi – kwitną orchidee. Niedobrze, coraz więcej turystów. Robią miny, zachwycają się, fotografują na tle metalowej tablicy, na której w brązie wyryto nazwisko Hirama Binghama. I tylko nieliczni wiedzą, że prawdziwym odkrywcą tego miejsca był ktoś całkiem inny.

Jak...? (6)

Rozgrzewka lub trening – tak określiłbym marsz do Machu Picchu. W ten sposób chciałem przypomnieć sobie to, czego już poprzednio doświadczyłem, wędrując bezdrożami Ayacucho. Tym razem przedsięwzięcie miało być jednak jeszcze poważniejsze – po tej andyjskiej przebieżce, najpierw pociągiem (żółtym), potem autobusem, potem znowu pociągiem (tym razem niebieskim, bo już boliwijskim), udałem się do La Paz, a potem jeszcze dalej na południe, w okolice Santa Cruz de la Sierra, gdzie z „Dziennikiem z Boliwii" w ręce, piechotą – dokładnie tak samo jak przed dwudziestu pięciu laty robili to partyzanci – postanowiłem przejść bojowy szlak ostatniej kampanii zbrojnej Ernesto Che Guevary.

Guevara jest jedną z największych latynoskich legend (to wiadomo). A także jedną z największych legend współczesności (to też raczej oczywiste). Bez niego nie byłoby ani Tupamaros, ani Accion Direct, ani – tym bardziej – ajakuczańskiego Sendero Luminoso. Wszyscy partyzanci, terroryści, wszyscy współcześni szaleńcy, w mniejszym lub większym stopniu, właśnie u niego doszukiwali się korzeni. Interesując się senderystami i pisząc o nich, nie można więc ani na chwilę zapomnieć o Guevarze i je-

go towarzyszach broni – Inti Peredo, Bombo i Joaquinie. Toteż gdy tylko nadarzyła się okazja, by udać się ich śladem, ani przez moment nie wahałem się i czym prędzej wyruszyłem w drogę.

Sytuacja była trudna; i nie mam tu bynajmniej na myśli uciążliwości podróży. Tym razem nie mogłem bowiem skorzystać z kamuflażu, który wypróbowałem w Peru. Nie mogłem udawać, że podróżuję szlakiem starożytności, a cały czas tak naprawdę rozglądać się na boki. Nie dało się tego zrobić, dlatego że na południu Boliwii nie było żadnych słynnych zabytków – ani Nazca, ani Paracas, ani Machu Picchu. Jedynie niegościnna selva alta[1]*, z rzadka rozsiane indiańskie przysiółki, nieufność ludzi i jeszcze większa nieufność policji. Pamięć o tym, co właśnie z udziałem Ernesto Guevary rozegrało się tu przed z górą dwudziestu pięciu laty (teraz mieliśmy rok 1991) nadal była bardzo świeża. Co w tej okolicy mógł robić* gringo*, taki jak ja? No co? Co mógł robić, jeśli już raz i drugi doradzano mu, by lepiej zawrócił i nie wychylał nosa poza La Paz, a on wciąż pętał się po tej jałowej ziemi?*

Ile razy siedziałem na twardych policyjnych zydlach i patrząc prosto w światło, musiałem odpowiadać na niekończące się pytania?

Ile razy jako sensację dnia na tym najprawdziwszym końcu świata traktowano mój polski paszport?

Nie wiem. Ale było tego niemało. Zawsze wówczas wydawało mi się, że tym razem będzie to już po raz ostatni, że tym razem cierpliwość mundurowych na pewno się wyczerpie. A potem okazywało się, że jednak jeszcze nie, że znowu miałem łut szczęścia. Korzystałem więc z okazji i natychmiast ruszałem dalej. Jak rozsypane paciorki nizałem na nitkę swojej trasy: Vallegrande, La Higuera, Nancahuasú, Vado de Yeso...

[1] selva alta – (hiszp.) wysoka dżungla; dżungla porastająca pofałdowany teren.

CZY PRZECHODZIŁ TĘDY CHE?

Ernesto Che Guevara ląduje w Boliwii jesienią 1966 roku. Wraz z nim przybywa tu jego legenda oraz garstka najwierniejszych mu ludzi. Jest ich najpierw sześciu, potem szesnastu, w pewnym momencie aż czterdziestu trzech. Razem tworzą Ejercito de Liberacion Nacional de Bolivia – Wojsko Wyzwolenia Narodowego Boliwii: armię, w której każdy człowiek jest osobną dywizją. Mają karabiny, amunicję, mleko w proszku, trochę konserw, niedokładne mapy, kompas, magnetofon, radio, wysokościomierz, nieco lekarstw oraz flagę, którą szyją z płótna spadochronów. To wszystko. To środki, którymi w samym centrum kontynentu, w miejscu oddalonym od brzegów obu oceanów o taką samą liczbę kilometrów, chcą wzniecić płomień rewolucji.

Wybór tego miejsca nie jest dziełem przypadku i zapewne rozważać go można nie tylko w kategoriach militarnych. To ta szersza, druga perspektywa wyboru Guevary; skoncentrujmy się jednak najpierw na strategii.

Ernesto wybiera właśnie Boliwię jako teren przyszłej partyzanckiej wojny z uwagi na swą koncepcję rewolucji kontynentalnej. Boliwia to nie tylko w przenośni, lecz również najbardziej dosłownie serce całego kontynentu –

serce, do którego przylegają zielone, nadamazońskie płuca. Guevarze chodzi o przekształcenie tego kraju w *foco guerrillero* – mówiąc słowami Fidela Castro, w „ośrodek partyzancki, który w swym dalszym rozwoju zapoczątkowałby w Ameryce Południowej walkę zbrojną na szeroką skalę". Centralne położenie na mapie kontynentu oraz wspólne granice z Brazylią, Paragwajem i Peru (niedawny ruch partyzancki!)[1] przynajmniej teoretycznie predestynowało właśnie to miejsce do odegrania roli kraju-zapalnika.

Teoretycznie, papierowo: bo te rzeczywiste „predyspozycje" okazać się miały całkiem inne: skały, lasy, ludzie, przekupstwo i brak rekrutów. Mowa o tym będzie już za chwilę; na razie – zgodnie z poglądem wyrażonym w książce o wojnie partyzanckiej, iż terenem walki zbrojnej winna być wieś – w Boliwii Guevara kieruje swe kroki na południowy wschód. W leśne ostępy Oriente.

Do Nancahuasú.

Całe życie Che było drogą do Nancahuasú. Miesiące boliwijskiej batalii to zaledwie ostatni jej etap.

Udaje się do dżungli. Bo – w swoim przekonaniu – chce walczyć z prawem dżungli.

Co z tego wynika?

Od pierwszej do ostatniej godziny boliwijskiej kampanii Guevary nie przestaje prześladować pech. To co miało być ogromną, pomyślaną na wiele lat batalią, już wkrótce przeradza się w długie pasmo pomyłek i błędów. Konspiracyjna zasłona, która oddziaływać powinna przez co najmniej kilkanaście miesięcy, zostaje zerwana... JUŻ NA TRZECI DZIEŃ! Guevara swoje zapiski z Boliwii otwiera słowami: DZIŚ ZACZĄŁ SIĘ NOWY ETAP. Lecz tak naprawdę w Boliwii ten nowy etap nigdy się nie rozpoczął!

---

[1] Mowa tu o Ruchu Lewicy Rewolucyjnej (Movimiento de Izquierda Revolucionaria, MIR) kierowanym przez Luisa de la Puente Ucedę, a grupującym intelektualistów sprzeciwiających się ugodowej ewolucji partii APRA. Po serii początkowych sukcesów w roku 1965 partyzanci zostali wyparci na wschodnie stoki Andów, gdzie ulegli rozproszeniu i gdzie ich spacyfikowano. Przywódców rozstrzelano; walki z niedobitkami batalionów trwały aż do roku 1967.

Ernesto Che Guevara - portret, który z czasem urósł do rangi ikony

Oddział składa się głównie z kubańskich weteranów, mimo to razi nieporadnością i brakiem dyscypliny. Partyzanci nie mają rozeznania w najbliższej okolicy. Nie znają ścieżek, przełęczy, brodów. Nie wiedzą, jakim językiem posługuje się okoliczna ludność – zamiast języka guarani całkiem niepotrzebnie uczą się keczua. Jeszcze zanim padnie pierwszy strzał, Guevara traci dwie całe dywizje:

dwóch spośród najbardziej obiecujących ludzi po prostu tonie w czasie przeprawy przez wezbraną rzekę. Przez tubylców partyzanci traktowani są jak garstka intruzów. Są dla nich kimś całkowicie obcym. Kimś z zewnątrz i spoza. Bo większość to Kubańczycy – obcokrajowcy; na samym początku Boliwijczyków jest zaledwie kilku. A hiszpańszczyzna tych pierwszych kłuje tu w uszy nazbyt miękkim, nazbyt szeleszczącym akcentem.

Wiemy to wszystko tylko dlatego, że przez cały czas trwania boliwijskiej kampanii Ernesto – *El Comandante* – prowadzi skrupulatne notatki. To jego wieloletni nałóg. W dwóch oprawionych w plastyk kalendarzach zapisuje wszystkie obserwacje poczynione w drodze – w szczególności to, co może być istotne dla człowieka walczącego, dla partyzanta. Są to zapiski bardzo lakoniczne, surowe. Ich styl i rytmika przywodzą na myśl terkot karabinowych wystrzałów. Strony, pokryte pismem jak loki karakuła, są wstrząsającą i bardzo tragiczną lekturą – to dziennik kapitana dowodzącego tonącym statkiem.

Znam jeszcze jedną podobną relację – zbliżoną, choć zarazem całkiem inną. To *Zielone piekło* Raymonda Maufrais, te jego rozdziały, które opowiadają o samotnej wyprawie autora w głąb gujańskiej selwy ku masywom Tumuc-Humac. Z ekspedycji tej nigdy już nie powrócił. Dopiero po latach nad rzeką Tamouri odnaleziono zapisane jego ręką na wpółzapleśniałe kajety. Między *Dziennikiem z Boliwii* Guevary a relacją tamtego badacza jest tylko jedna różnica. Maufrais do końca wierzy, że przeżyje. Że ocaleje. Że zdarzy się cud.

W Boliwii było inaczej. Po prostu – znalazłszy się u kresu – Guevara w cud już nie wierzy.

Reszta – choć jeden z nich był rewolucjonistą, a drugi podróżnikiem – jest taka sama. Rewolucja boliwijska była dla Guevary tym, czym dla Maufrais'go był niezdobyty masyw Tumuc-Humac.

Zamiast walczyć z wrogiem, partyzanci muszą walczyć z plecakami, które nie chcą się trzymać obolałych pleców. Leczą ustawicznie krwawiące czyraki, zmagają się z leśnymi kleszczami, z robactwem, z komarami. Dokucza im głód, brakuje lekarstw. Mnożą się między nimi spory, animozje, niesnaski. Najgorsze jest jednak to, że walkę rozpoczynają dużo za wcześnie – w chwili, gdy powinni jej najbardziej unikać. Jest początek kwietnia 1967. Ma to być wielki początek jeszcze większego początku. W rzeczywistości – staje się on początkiem nieuchronnego końca.

Bo ich pierwsze zwycięstwa w wąwozie Nancahuasú i nad rzeką Iripiti alarmują władze. W tym samym czasie policja natrafia na pewien ślad, potwierdzający wcześniejsze pogłoski, że oddział partyzancki, który pojawił się w rejonie Santa Cruz de la Sierra, dowodzony jest przez osławionego Guevarę. To wystarcza. Na południu dochodzi do największej w dziejach Boliwii koncentracji wojskowych sił i środków. I odtąd szala zwycięstwa ani na moment nie przechyli się na stronę tych, którzy podejmą próby, aby ujść z matni. Daremnie. Wokół nich coraz ciaśniej zaciskać się będzie stalowy pierścień okrążenia.

Są różne techniki walki z partyzantką. W myśl jednej z nich należy doprowadzić do tego, aby we władaniu powstańca znalazło się tylko tyle centymetrów ziemi, ile mieści się pod podeszwami jego butów. Pod nogami. I właśnie tę taktykę zastosowano.

Ogłoszono, że okolicznej ludności rozdawać się będzie broń i amunicję. Miejscowi chłopi – *campesinos* – Metysi, Indianie i *cambas*[1] tłumnie zaczęli schodzić z wyżyn ku dolinom. Broń odbierali przy stołach zasłanych zielonkawym suknem, co sprawiało wrażenie, jakby postępowy prezydent dotrzymywał danego słowa i przeprowadzał reformę rolną. Jednak w tym wypadku za pomoc w ujęciu „bandytów" obiecywano nagrody – tam parę skarpet, tu

[1] cambas – ludzie pogranicza.

parę butów czy koszulę. A para butów dla Indian stanowiła często więcej niż ich roczny dochód.

To tak, jakby obiecywano im złote góry.

Dwie góry.

Bo jedną na prawą, drugą na lewą nogę.

Taki scenariusz wypróbowywano w Ameryce Łacińskiej już wielokrotnie. W ten sam sposób walczono w Kolumbii z ruchem M-19, w Peru podobnie godzono w terrorystyczno-partyzancką organizację Sendero Luminoso. A siła tak rozdanej broni jest straszliwa. Bo często wcale nie musi ona strzelać, żeby skutecznie zabijać! Najważniejsze, by partyzant wiedział, że Indianom rozdano karabiny. Najważniejsze, by – podchodząc do wioski – widział je z daleka w indiańskich rękach. Wtedy zawróci. Cofnie się między skały. Zapuści się w jeszcze gęstszy ostęp. Będzie się bał, że zdradzi go dym z ogniska. Będzie głodny – bo coraz trudniejsze okaże się polowanie. Wpadnie w depresję. Zacznie popełniać coraz więcej błędów. Poczuje się jak osaczona zwierzyna.

Zacznie unikać ludzi.

I tu docieramy do sedna: bo dotychczas mówiliśmy o pomyłkach i błędach – zaledwie o drobnych potknięciach. Błędach, które mogły zdarzyć się każdemu. A tak naprawdę klęska Guevary – jeszcze na długo przed jego przybyciem – zapisana została w boliwijskiej topografii.

Mówią, że Boliwia to kraj, który na dobrą sprawę mógłby nie istnieć. I jest w tym dużo prawdy: jego jedna część mogłaby należeć do Argentyny, inna do Brazylii, a jeszcze inne – do Paragwaju i Peru. A jednak tak się nie stało! A jednak tak nie jest!

Dlaczego?

Bo Boliwia to kraj bardzo wielu kamieni i przepastnych lasów, w którym jednak nie ma prawie wcale ludzi. To ziemia umęczona, ziemia straszliwa. To rezerwa przestrzenna całego kontynentu. Stanowi jego środek, lecz tak

Rejon na południu Boliwii, w którym rozgrywała się ostatnia kampania bojowa Ernesto Che Guevary

naprawdę jest rubieżą, krawędzią. Kresem. Stąd najdalej do jakiegokolwiek centrum. Dawne Górne Peru – dzisiejsza Boliwia – oddzieliło się od reszty Wicekrólestwa, bo nawet tym, co rezydowali w Limie – stolicy, wydawało się, że prowincja ta leży gdzieś hen..., na krańcu świata. To kraj, na którym nigdy nikomu zanadto nie zależało – zlepek niechcianych okruchów, jeden za drugim odpadających przez stulecia z obrzeży innych, bardziej szczęśliwych krajów. To produkt uboczny ruchów górotwórczych na mapie politycznej kontynentu. Na wielu odcin-

kach do dziś brak tu precyzyjnie wytyczonych granic[1]. To granice-sita, granice-durszlaki, gdzie nie ma żadnych kontroli ani żadnych straży.

Jeszcze inne jest boliwijskie południe, strony, w których walczył Che Guevara – tereny, z którymi się zmagał. Tam okrutny boliwijski krajobraz z wolna przeradza się w ospowatą panoramę paragwajskiego Chaco. I choć można by je określić jako tę część kontynentu, która jak żadna inna do upadłego potrafi ciągnąć za struny gitary i tańczyć *zapaterę*[2], to najpierw trzeba powiedzieć, że są to nade wszystko kolczasto i niedostępnie porośnięte góry.

Dla oddziału partyzantów oznaczały one ekstremalne temperatury oraz ich ogromne amplitudy między dniem i nocą. Nieprzewidziane przybory rzek. Ulewy. Rdzę toczącą karabiny i grzyba nękającego cały pozostały sprzęt.

W przeszłości tylko na północy rozwinęły się jakieś znaczniejsze kultury – Tiahuanaco, Chiripa, Wankarani, Mollo, zaś centrum i południe – znajdujące się poza cywilizacyjnym zasięgiem oddziaływania państwa Inków – zawsze pozostawały opuszczonym i zamkniętym w sobie światem. Pół-światkiem: dziś rejon ten stał się przytuliskiem dla przestępców i wszelkiego typu mętów. Ostoją dla zbiegłych faszystów, azylem dla fabrykantów kokainy.

Bo Boliwia to jeden z nielicznych regionów, w których nie ma ani ludzkich tłumów, ani zbitej ciżby – masy. Nawet boliwijskie targowiska przesycone są nie zgiełkiem, lecz skupieniem i ciszą. To przede wszystkim kraj pojedynczych ludzi i przestrzeni, która dzieli ich od innych – równie samotnych, równie otulonych przestrzenią. Fakt ten tłumaczy bardzo wiele – tak mi się przynajmniej wydaje.

---

[1] Nie do końca ustalony przebieg południowej granicy boliwijskiej stał się przyczyną największego od czasów zakończenia walk o niepodległość konfliktu zbrojnego w Ameryce Łacińskiej. Była to tzw. Wojna o Chaco (Chaco Boreal), która w latach 1932-1935 toczyła się między Boliwią a Paragwajem. W konflikcie tym Boliwia doznała dotkliwej klęski – utraciła większość spornego terytorium, 50 tysięcy ludzi poległo (na 3,4 mln mieszkańców!), a 10 tys. zdezerterowało, przechodząc na stronę paragwajską.

[2] zapatera – jeden z tańców ludowych, typowych dla terytorium położonego na północ od La Platy.

Guevara w okresie kampanii w Boliwii

Bo owszem, można zrobić rewolucję. Dowodzi tego Kuba. Nigdy jednak nie było rewolucji na pustyni. W próżni.

To jasne. Bo rewolucji nie robią ani kamienie, ani piasek. Robią ją ludzie.

Najlepiej – jeśli jest ich bardzo dużo.

I to był największy dramat Che Guevary, dramat, w który uwikłała go jego własna teoria. Mówi ona, że terenem walki partyzanckiej nie powinno być miasto ani strefy zurbanizowane: „Ludność miejska składa się bowiem z [...] oligarchii [...] i ze zdegenerowanych mas [...]. Naturalnym środowiskiem partyzanckich działań jest wieś i zamieszkujące ją chłopstwo". Właśnie tu walkę winien rozpocząć niewielki „oddział składający się z wypróbowanych i doświadczonych bojowników gotowych na wszystko". Ich walka jest katalizatorem – w rezultacie wieśniacy zaczynają wstępować do partyzantki – mały

oddział obrasta w ludzi. Przekształca się w armię. Ta zaś zdobywa władzę.

Przeprowadza rewolucję.

Boliwijska kampania była próbą zastosowania tej teorii w praktyce.

Była daremnym wyczekiwaniem na ochotnika, na chłopa-rekruta. Płonną nadzieję – że boliwijski bezruch coś rozerwie, poruszy – *El Comandante* karmi w sobie aż do ostatka. Aż po samo dno. Lecz cóż z tego, że Boliwia to kraj, którego nazwę utworzono od nazwiska *Libertadora* – Simona Bolivara? Cóż z tego – skoro w ciągu jedenastu miesięcy walk do partyzanckiego oddziału spośród chłopstwa przyłączył się... TYLKO JEDEN CZŁOWIEK?!

Czy może być gorsza samotność od samotności partyzanta?

Nad założeniami streszczonej tu koncepcji rewolucji na pewno można by długo dyskutować. Nie ulega jednak wątpliwości, że zawiera ona przynajmniej jedną podstawową sprzeczność: uwagę na to zwracano już wielokrotnie. Spójrzmy: z jednej strony, aby przetrwać, oddział musi ukrywać się w miejscach najbardziej bezludnych, z drugiej – walcząc na odludziu, nie zwiększa swych szeregów. Więcej! – gdy ponosi straty (a walcząc, jak tego uniknąć?!) – ustawicznie się zmniejsza! Dlatego też tak wszczynane powstanie w swej pierwszej fazie jest zawsze balansem ekwilibrysty na wysoko przeciągniętej linie. Sztuka może się udać, ale wcale udać się nie musi. Tak rozpoczynana rewolucja w pierwszym etapie jest zatem nieustannym liczeniem na to, czego istnieniu tak chętnie zaprzecza. Jest czekaniem na cud. Na cud, który trwać będzie wiele kolejnych dni, całe miesiące, ba... – może nawet lata!

Tu – w Boliwii – okazało się to niemożliwe.

Zdarzyło się coś wręcz przeciwnego: podstawowa sprzeczność tak długo narastała, aż stała się zagładą i śmiercią.

Katastrofą.

Śmiercią Che i katastrofą jego oddziału. Zagładą tego, co powieść się nie mogło.

Bo nawet owi pojedynczy ludzie, którzy mogliby zasilić jego oddział, otrzymują broń i systematycznie są przeciwko niemu podburzani. Broń dostają najczęściej od kogoś takiego samego jak oni: cała różnica polega na tym, że „on" potrafi czytać i pisać. To znajomy z *quebrady*[1]. To wuj ich kuzyna. Albo brat ciotki. Człowiek, który do szkoły chodził w pobliskim La Higuera! Ktoś o ich własnych rysach twarzy. Krajan. Natomiast „tamci", przeciwko którym mają uzbroić się w czujność i karabiny, przybyli – dosłownie! – nie wiadomo skąd! Są najprawdopodobniej jakimiś płatnymi mordercami! Nadto – słyszy się o nich bardzo dziwne historie: np., że niektórzy pochodzą z całkiem innych krajów, a niektórzy- ponoć – mają prawie zupełnie czarną skórę!

- Naprawdę!

Co do tego generał-prezydent Rene Barrientos nawet na jotę się nie pomylił. Słusznie przypuszczali jego doradcy, cały sztab. Analfabeta jest najlepszym żołnierzem. Nigdy nie podniesie broni przeciwko tym, od których ją dostał. Gdy będzie miał do wyboru – w jednej ręce dużą, lecz nieokreśloną wolność, a w drugiej – małe, ale konkretne buty (mogą być nawet znoszone!), już z góry wiadomo, co nędzarz wybierze.

Zwierzęcym, spłoszonym gestem. W kundlim odruchu.

Jedną parą butów, jedną koszulą można przeciągnąć na swoją stronę ze trzy wioski. Można te buty nosić ze sobą i pokazywać. To ważne!: pokazywać z odpowiedniej odległości. Żeby nie były zbyt duże, bliskie, lecz także by nie były aż nazbyt niepozorne. Można powiedzieć: „O..., ty będziesz je nosił w poniedziałek, a ty we wtorek, a ty – ty w trzecim rzędzie po prawej – tylko w czwartki". Ty za rok, a tamten za dwa lata. Za trzy, za dziesięć, za... I co?

[1] quebrada – (hiszp.) wąwóz.

Nie masz wyboru – musisz się zgodzić. Musisz pokiwać głową. Bo inaczej... butów nie dostaniesz!

Bo na swym najniższym poziomie nędza nie znajduje dość siły, by podnieść się z kolan i w pięści zacisnąć dłonie. Co najwyżej – o ironio! – może się ona zwrócić przeciw samej sobie!

Za każdym razem, gdy natykałem się na tę prawidłowość, byłem tak samo zaskoczony... Gdy odkrywałem, ile jest kolorów, ile odcieni nędzy. A ileż stąd przywilejów! Aspiracji! Wzajemnej nienawiści! Obopólnej wrogości! Bo może być nędza szara. Może być i czarna. A szary nędzarz dla nędzarza czarnego to już magnat, bogacz. Dlaczego? Bo szary. Szary, czyli bielszy.

Co miała czynić druga strona? Czym kusić? Czym zachęcać? Ziemią? Ziemią, którą można by rozdawać w przyszłości? Lecz cóż znaczy ziemia w bezludnej okolicy? Cóż znaczy ona tam, gdzie ziemi i tak zawsze było za dużo? Cóż znaczy tam, gdzie zawsze była pustka i zbyt mało ludzi?

Jedynym wyjątkiem są teraz ci, na których urządza się obławę, polowanie.

Na samym końcu jest ich siedemnastu.

Dokładnie o siedemnastu za dużo.

O tej garstce Fidel Castro kiedyś powie: „Jeszcze nigdy tak niewielu nie chciało dokonać czegoś tak wielkiego; to ci, których błędy z ich walki uczyniły jeszcze większe bohaterstwo". A jeśli już poruszamy ten temat, koniecznie trzeba dodać błąd kolejny – kto wie, może nawet ten decydujący, najważniejszy. Wszak na wojnie czymś najistotniejszym wcale nie jest bitwa ani siła ognia, lecz łączność. Zwycięzcą zawsze będzie ta strona, która utrzyma łączność między swoimi oddziałami, a uniemożliwi ją nieprzyjacielowi – nawet gdyby ponosiła chwilowe porażki podczas akcji militarnych. Tymczasem wczesną wiosną Guevara dokonuje podziału swojej malutkiej armii.

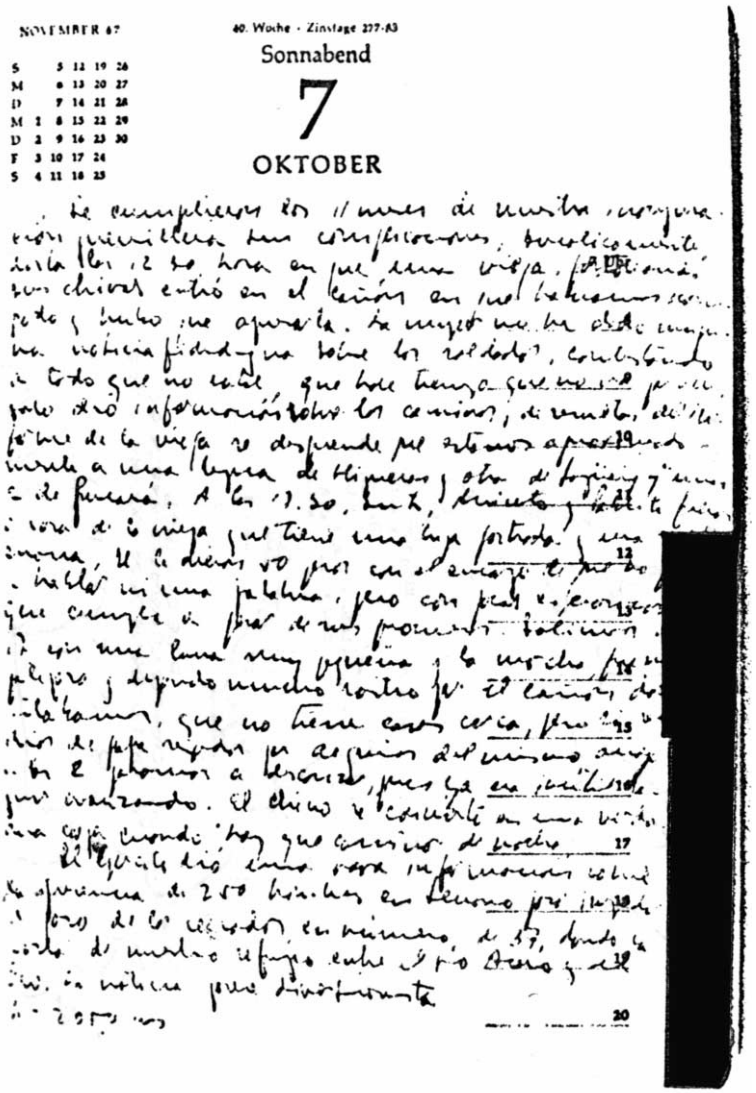
NOVEMBER 67

S		5	12	19	26
M		6	13	20	27
D		7	14	21	28
M	1	8	15	22	29
D	2	9	16	23	30
F	3	10	17	24	
S	4	11	18	25	

40. Woche · Zinstage 277-83

Sonnabend

7

OKTOBER

Dziennik z Boliwii – trzy dni przed ostateczną klęską

Podział – przewidziany tylko na kilka dni jako „manewr", „sprytna roszada" czy „konieczność", jak chcą jeszcze inni – w rzeczywistości trwa całe miesiące. I odtąd oba oddziały będą się nieustannie szukać, przechodzić obok siebie w odległości kilkuset metrów, nie wiedząc o swej obecności za gęstą zasłoną z tropikalnych drzew. Raz nawet dojdzie między nimi do wymiany ognia, w przeświadczeniu, że oto napotkano patrol wroga! I nie odnajdą się już do końca! Guevara w nieznanej sobie okolicy szukać będzie batalionu Joaquina nawet wtedy, gdy ten – zmasakrowany przez boliwijskich żołnierzy w Vado del Yeso nad Masicuri – już w ogóle przestanie istnieć! Nawet wówczas, gdy wiadomość o tym poda radio i partyzanci wielokrotnie ją usłyszą. Zgodnie wtedy orzekną: „To nie może być prawda! To próba złamania naszej wiary! Dywersja! Wroga propaganda!".

Dziś, gdy z perspektywy czasu patrzymy na to, co wtedy się działo, prawie mimowolnie musimy zadać sobie pytanie: czyżby zło tkwiło wewnątrz oddziału? Czyżby złem tym był jakiś zakonspirowany zdrajca?... Tym bardziej podejrzenie to musi wydać się prawdopodobne, gdy zdamy sobie sprawę, że kontakt zewnętrzny z ludźmi mogącymi zapewnić Guevarze jakieś solidniejsze poparcie – na skutek (znów!) pechowej serii zbiegów okoliczności, przypadków – nagle został zerwany!

A mogło to mieć ogromne znaczenie. Bo w tym samym czasie, trochę dalej na północ, wśród boliwijskich górników w kopalniach Siglo XX i Catavi, w cynowym zagłębiu w pobliżu Oruro, od wielu miesięcy trwały strajki i kulminowało napięcie. Lała się krew, kopalnie wielokrotnie zajmowała policja i wojsko. Nie było tygodnia bez rzezi, bez masakry.

Tymczasem im bliżej jesieni roku 1967, im bardziej bezskuteczne i rozpaczliwe stają się poszukiwania oddziału Joaquina, tym wyraźniej sytuacja Guevary przeradza się

w sytuację bez wyjścia. Coraz dotkliwiej dusi go astma, lekarstw brak – dzień zwykle zaczyna od tego, że zawisa na którejś z gałęzi głową w dół, a jeden z partyzantów drewnianym prętem z całych sił bije go po plecach; dopiero wtedy – po całonocnym skurczu – swą codzienną pracę rozpocząć mogą zbuntowane płuca. Kończy się żywność; to – jak Che pisze w *Dzienniku* – „epoka papug", bo partyzanci jedzą już tylko upolowane ptactwo, kłącza palmy *totai* i rzeczne małże. I tworzy się kolejny zaklęty krąg: na wielu odcinkach przemarszu brak wody, a im chce się pić. Piją więc własny mocz. Potem mają torsje, są odwodnieni. Znowu gnębi ich okrutne pragnienie. Znowu piją mocz. Znów nękają ich wymioty...

W końcu – brakuje nawet moczu.

Nasilają się zdrady, dezercje. Dowódcę opuszczają prawie wszyscy: jedni z oddziału uciekają ukradkiem, pod osłoną ciemności, inni odchodzą na własną prośbę, za jego przyzwoleniem. A dla garstki, pozostającej z nim, zaczyna się codzienny strach ludzi zewsząd osaczanych. Tragizm sytuacji polega na tym, że od tej chwili cokolwiek by uczynić – i tak cała batalia skończy się fiaskiem. Jedyne wyjście z tych – na przemian gęsto porośniętych i kamienistych – pustaci prowadzić może tylko przez śmierć.

Guevara skazany jest od początku; w najlepszym razie od początku lata. Wraz z nim skazani są jego ludzie.

I być może właśnie dlatego ta walka i to życie stają się czymś więcej niż walką i życiem pojedynczego człowieka. Być może właśnie dlatego uchodzić mogą za wielką metaforę ludzkiego losu. Ta beznadziejność. Ta nieuchronność. Ta niezłomność i hart. To – upadam, a jednak się podnoszę. Upadam, lecz trwam...

Jak...? (7)

GUEVARA PADŁ OFIARĄ SPISKU! – z takim przeświadczeniem opuszczałem południową Boliwię. Ślady konspiracji, w którą zaangażowana była CIA, enerdowska Stasi i sowieckie KGB (to chyba jedyny wypadek w historii, gdy wszystkie wywiady świata chciały zgładzić tego samego człowieka!) nadal – mimo upływu czasu – były wyraźne i wiodły na Kubę. To Fidel Castro – towarzysz broni Che z gór Sierra Maestra (ten sam, który później wznosił peany na jego cześć, gdy informację o śmierci Che podały już agencje!) – był najbardziej zainteresowany, by Guevara przepadł w lasach Nancahuasú i by już nigdy nie wrócił do Hawany. W ten sposób Fidel pozbywał się swego największego konkurenta; na dodatek – charyzmatycznego przywódcy, który w przyszłości mógł stać się dlań zagrożeniem. Dokonywał niezłego targu: żywego konkurenta wymieniał na martwą legendę. I to na taką, którą – w zależności od własnych interesów – mógł dowolnie kształtować.

Właśnie dlatego z jego rozkazu do oddziału Che włączona została „Tania" – wschodnioniemiecka komunistka i dziennikarka, która najpierw stała się nieoficjalną novia *(czyli narzeczoną) Guevary, a następnie, w decydującej fa-*

Tamara Bunke - „Tania": dziewczyna, która Guevarę doprowadziła do zguby

zie walki, doprowadziła do podziału jego batalionu. Było to jak strzał w plecy, jak gwóźdź do trumny. I zadecydowało o niepowodzeniu boliwijskiej kampanii.

Informacje, jakie zebrałem w okolicach Santa Cruz de la Sierra, były bardziej niż przekonywające – tłumaczyły wiele zdarzeń do tej pory niezrozumiałych. By je potwierdzić, po pobycie w La Paz poleciałem prosto na Kubę. Klucz do rozwiązania zagadki Che musiał bowiem znajdować się w Hawanie.

Było jasne, że Fidel Castro nie zechce rozmawiać na ten temat, a jeśli nawet, i tak nigdy nie powie całej prawdy

PCC No. 063319

PARTIDO COMUNISTA DE CUBA

El compañero Tamara Bunke Bider

Es militante del núcleo Ministerio Educación

Seccional o Municipal

Regional Provincia La Habana

Expedido el 6 de Abril de 19 66

COMITE CENTRAL

FIDEL CASTRO RUZ
PRIMER SECRETARIO DEL COMITE CENTRAL

Legitymacja członkowska Komunistycznej Partii Kuby „Tani" z podpisem Fidela Castro

(mimo to złożyłem prośbę o wywiad). Ale inni? Musieli jeszcze żyć ludzie w jakiś sposób zaangażowani w tamte zdarzenia. Należało ich zlokalizować i do nich dotrzeć.

Tu zadanie było jednak jeszcze trudniejsze niż na południu Boliwii. Nie miałem co liczyć na wyrozumiałość kubańskich Strażników Rewolucji. Choć starałem się zachować maksymalną dyskrecję, już po kilku dniach można się było domyślać, jaki jest prawdziwy cel mojego pobytu w Hawanie. Ludziom – niegdysiejszym bliskim współpracownikom Castro i Guevary – z którymi spotykałem się i którym zadawałem dość trudne pytania, milicja zaczęła nagle grozić i deptać po piętach. Rozumiałem, że mam bardzo niewiele czasu, że muszę się spieszyć, że każdy kolejny dzień na wyspie może być dniem ostatnim. Tymczasem do rozwiązania tej łamigłówki nadal brakowało mi kilku ważnych elementów...

Pewnie nigdy bym ich nie odnalazł i sprawa Guevary do dziś pozostałaby dla mnie nierozwiązana, gdyby nie to, co zdarzyło się 9 lipca 1992 roku.

OSACZONY

W 1965 roku na prawie 12 miesięcy Guevara znika z życia publicznego Kuby. Octavio Perez, kubański emigrant polityczny zamieszkujący w Kalifornii, w Los Angeles, twierdzi, iż przez ten czas Guevara był internowany, a miejscem jego wygnania było niewielkie ranczo w zachodniej części wyspy. Perez należał do ochrony obszaru, na którym przebywał wtedy Guevara i w okresie tym widywał go praktycznie codziennie (grywali razem w szachy). Mówi: „Była to bardzo dziwna klauzura. Na poły przymusowa, na poły dobrowolna. Odnosiłem wrażenie, że Guevara zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu opuszczać wyznaczonego terytorium, a jednocześnie – w pełni się z tym godził. Mówił, że czas spędzany w tej samotni chce wykorzystać na przemyślenie wielu nurtujących go problemów. Że za żadną cenę nie da się namówić do powrotu do Ministerstwa Przemysłu i do Banco Nacional de Cuba. Ponad wszelką wątpliwość wiem, że w »Finca Sol« (tak nazywało się to ranczo) dwa razy odwiedzał go Fidel Castro. Rozmowy przeciągały się wtedy do późnych godzin nocnych; ich rezultat był jednak mierny: Za każdym razem Fidel opuszczał »Finca Sol« bardzo wzburzony".

Dysputy i niezgodności nadal więc trwały; dziś wiemy, że nie chcąc ani o krok odstąpić od swych wyidealizowa-

nych poglądów, Guevera w ten sposób de facto podpisywał na siebie wyrok śmierci. W tym czasie w „Finca Sol" coraz częściej zaczęła pojawiać się Tamara Bunke, młoda komunistka niemiecko-argentyńskiego pochodzenia, na którą tu, na Kubie, wszyscy mówili „Tania". To właśnie z jej ust po raz pierwszy padła sugestia, by wyruszyć na południe, do Boliwii. By w centrum kontynentu wzniecić wielkie, promieniujące we wszystkich kierunkach ognisko rewolucyjne. Dziewczyna ta trafiła do Che, grając rolę ideowej, zapalonej dziennikarki i bardzo przypadła mu do gustu (ich romans stał się później tajemnicą poliszynela). Jeszcze bardziej jednak spodobał się Guevarze projekt kolejnej, partyzanckiej eskapady.

Dziś, po otwarciu archiwów Stasi, wiemy na pewno to, czego dotąd można się było tylko domyślać: Tamara „Tania" Bunke, córka dwojga argentyńskich komunistów, którzy z Buenos Aires wyemigrowali... do NRD, była agentką pracującą dla Stasi i dla KGB. Od 1961 roku przebywała na Kubie, lecz co jakiś czas odwiedzała Berlin Wschodni. W trakcie jednej z tych wizyt otrzymała polecenie, by dotrzeć do Che, zaskarbić sobie jego zaufanie i skłonić do podjęcia boliwijskiej eskapady. Mieli jej w tym dopomóc „kubańscy towarzysze"...

„Towarzysze" rzeczywiście pomogli; wszak to od nich wyszła cała intryga. To na ich prośbę Stasi kontaktowała się z „Tanią", a następnie z KGB. Rosjanie zaś, niewiele się zastanawiając, uruchomili „gorącą linię" z CIA; w przedziwny sposób wspólnota celów kazała zapomnieć (co prawda tylko na chwilę) o wszelkich swarach i animozjach. Toteż CIA WIEDZIAŁA O TYM, ŻE GUEVARA POJEDZIE DO BOLIWII JESZCZE ZANIM... ON SAM SIĘ NA TO OSTATECZNIE ZDECYDOWAŁ! Plan wykoncypowany w Hawanie rzeczywiście był planem iście szatańskim: Guevara miał zginąć z rąk „złych imperialistów", którzy z odpowiednim wyprzedzeniem zajęli strategiczne

Ciało Guevary podczas policyjnych oględzin w Vallegrande (12 października 1967 r.)

pozycje w Boliwii. Fidel i cały naród kubański mieli potem nad tym solennie ubolewać. Martwy Guevara nie stanowiłby już dla nikogo zagrożenia. Przeciwnie – pośmiertnie nadal było można kreować go na niedościgłego idola i wszcząć kolejną kampanię nienawiści przeciwko blokadzie, imperializmowi, jankesom.

Czy można było wymyślić coś lepszego?

Guevara opuścił swą samotnię w chwili, gdy z relacji „Tani" wynikało, iż ostatecznie zdecydował się na podjęcie boliwijskiej kampanii. Ona sama stała się bliską współpracowniczką. Jej zaś nadal skrzętnie pomagali „towarzysze": podsuwali niedokładne plany miast i zafałszowane mapy, udostępniali dane mające niewiele wspólnego z boliwijskimi realiami. Potem, w czasie wyprawy, te przeinaczenia i niedokładności wydać miały swój gorzki i trujący

owoc: szanse powodzenia kampanii sprowadzały do zera, znacznie zwiększały natomiast szanse przeciwnika...

Reszta była już bajecznie prosta. „Tania" bezbłędnie grała swą rolę, a jej maestria wynikała przede wszystkim z tego, że grała ją całkowicie nieświadomie. Do ostatniej chwili nie zdawała sobie sprawy z tego, że uczestniczy w zamachu na życie Guevary (nigdy by się na to nie zgodziła). Sądziła, że pomaga „słusznej sprawie", że jadąc z Che do Boliwii, jedzie siać tam równość i wolność. Gdyby ktoś jej powiedział, że na przybyłych do Boliwii partyzantów będą już czekać wyszkoleni przez amerykańskich ekspertów „rangers", czyli komandosi – nigdy by w to nie uwierzyła. Będąc potem łącznikiem oddziału z Kubą i odbierając wskazówki z „centrali" w boliwijskiej Cochabambie, do ostatnich dni kampanii wiernie przekazywała „sprawdzone informacje", które oddział pchały prosto w zastawiony potrzask. Ostatecznie zginęła. Zginęła w jednej z potyczek nad Vado del Yeso. Zginęła w bardzo dobrej chwili: wtedy, gdy rozstawiono wszystkie sidła i katastrofy oddziału Guevary nie można już było uniknąć.

Pierścień, coraz bardziej zaciskający się wokół Guevary od końca sierpnia 1967 roku, zamknął się ostatecznie w wąwozie Yuro 10 października. Che został ranny w krótkiej strzelaninie i wzięty do niewoli. Po zainscenizowanym procesie, który odbył się następnego dnia w La Higuera, w miejscowej szkole, został zastrzelony czterema strzałami z pistoletu nad ranem 12 października. Po obdukcji ciało pochowano (dziś wiemy to ponad wszelką wątpliwość) obok pasa startowego w boliwijskim Vallegrande.

W cztery dni później Fidel Castro drżącym ze wzruszenia głosem zawiadomił o tym swój naród. Hawana ogłosiła trzydziestodniową żałobę narodową.

Jak...? (8)

Te fakty udało mi się jednak ustalić dopiero później. Po pobycie w Boliwii i w czasie kilku dni, jakie spędziłem na Kubie, miałem co najwyżej nikłe, choć wyraźne przeczucie. To iż potem ze zdwojoną siłą zacząłem penetrować archiwa i szukać rozrzuconych śladów nawet w Stanach Zjednoczonych (do dziś pamiętam zdumienie na twarzy attaché prasowego ambasady USA w Warszawie – Jamesa Jorii – gdy zdradziłem mu, że stypendium German Marschall Fund chcę wykorzystać między innymi po to, by odnaleźć dowody na to, że Che Guevara zginął w spisku uknutym do spółki przez CIA i KGB), wynikło z tego, co przydarzyło mi się 9 lipca 1992 roku na Kubie. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd uświadomiłem sobie wtedy, że nadepnąłem komuś na odcisk – choć bardzo stary, to nadal bolesny.

Cóż takiego się zdarzyło?

Dnia tego z hotelu „Metropol" przy hawańskim „maleconie" na oczach kilkudziesięciu gości zostałem wyprowadzony pod eskortą kubańskich Strażników Rewolucji i cały dzień przesiedziałem w czymś w rodzaju aresztu.

Następnego dnia – bez żadnych wyjaśnień (wszak dla mnie wszystko już było jasne) – zostałem odwieziony na

lotnisko José Martiego, gdzie odstawiono mnie wprost pod trap wiodący do wnętrza samolotu.

Nie zauważyłem nawet, jakie to linie.

Powiedziano mi, że nie mam się niczym martwić, bo mój bagaż znajduje się już na pokładzie.

Gdy samolot oderwał się od pasa, byłem przekonany, że po prostu kilka dni wcześniej wrócę do Europy i niezmiernie zdziwiłem się, gdy po niecałych dwóch godzinach nagle zaczęliśmy schodzić do lądowania.

Okazało się, że Kubańczykom tak się spieszyło, że nie zaczekali nawet na lot transatlantycki i czym prędzej (bez biletu!) zapakowali mnie do pierwszego samolotu, jaki wylatywał poza Kubę.

Teraz pode mną znajdowała się Bogota, stolica Kolumbii.

„Nawet dobrze się składa – pomyślałem. – Przecież zawsze chciałem tu przylecieć".

Był 11 lipca 1992 roku.

WOJNA O KOKAINĘ

1.

12 lipca 1992 roku, około godziny szesnastej, w centrum Bogoty rozległy się strzały.

Do postaci w ciemnym, dobrze skrojonym garniturze wysiadającej z dostojnego pontiaca, na oczach co najmniej trzydziestu osób, tuż przed wejściem do Banco Popular de Colombia, oddano precyzyjnie mierzoną serię z broni maszynowej, umieszczonej za stertą worków z cementem na platformie szybko przemykającego vana. Jak zwykle w tego rodzaju sytuacjach (zwłaszcza w Kolumbii), szczęście nie sprzyjało postaci w garniturze, za to kierowca pojazdu łamiącego przepisy ruchu drogowego miał go bardzo dużo. Mimo że policja pojawiła się prawie natychmiast („stróże porządku jakby czekali" – napiszą następnego dnia gazety), mimo że van na łeb na szyję przejechać musiał przez kilka kolejnych skrzyżowań na czerwonym świetle i mimo innych przeszkód, **jakoś** udało mu się przemknąć regularną szachownicą ulic i skrzyżowań bogotańskiego śródmieścia, by – znów: **jakoś** – bez śladu przepaść w labiryncie uliczek kwartału kolonialnego. Natomiast Starannie Skrojony Garnitur – don Alberto Ruiz Reyes – działacz partii chadeckiej i sędzia Kolumbijskiego Sądu Kasacyjnego – ten, do którego strzelano – skonał

prawie natychmiast. Trzynaście spośród szesnastu oddanych strzałów nie dało mu żadnej szansy przeżycia. Lekarz, który dokonał oględzin zwłok, powiedział: „Śmierć nastąpiła natychmiast. Don Alberto nie żył, zanim się przewrócił".

Scenariusze wcześniejszych zabójstw były podobne:

Ricardo Rivas, deputowany do parlamentu, zwolennik specjalnej antynarkotykowej ustawy, zginął ugodzony nożem w tłumie, gdy po zmroku wychodził z zatłoczonego kina; sprawcy (sprawców?) nigdy nie znaleziono.

Major Leopoldo Alonso, komendant stołecznego garnizonu, przeciwnik kokainowych gangów, znany ze skuteczności w zwalczaniu „pełzającej śmierci", mimo licznej ochrony osobistej nie uniknął nieszczęścia („do którego namawiał los" – jak przez łzy stwierdziła potem jego zrozpaczona żona) i został rozszarpany przez sforę wściekłych psów, które – nie wiadomo w jaki sposób – znalazły się w jego ogrodzie akurat w momencie, gdy wychodził z domu na ulicę.

Antonio de Cuevas Ratones, sędzia sądu rejonowego w Barranquilla, zaciekły zwolennik jak najskuteczniejszych metod walki z narkotykową mafią, ni stąd ni zowąd został staranowany rozpędzoną motorówką zaopatrzoną w specjalne stalowe ostrogi, gdy zażywał kąpieli w karaibskim kurorcie Las Lagunas. Reszty dokonały liczne w tych okolicach o tej porze roku rekiny; sprawców – rzecz jasna – również nigdy nie udało się ustalić...

Podobny los spotkał Alberta Finalesa – biznesmena; Anastasia Domingueza Carajona – duchownego; Marca Albineza de Carabaya – artystę.

Były to: trzydzieści tysięcy sto piąta, trzydzieści tysięcy sto szósta, trzydzieści tysięcy sto siódma, sto ósma, sto dziewiąta, trzydzieści tysięcy sto dziesiąta ofiara kolumbijskiej wojny o kokainę.

I tak codziennie. Od początku lat siedemdziesiątych do teraz.

13 lipca zginęło dalszych pięć osób.
Kto, kto będzie następny?

2.

Roślina na pierwszy rzut oka wygląda niepozornie. Jej krzewy są niskie, nie przewyższają naszej kosodrzewiny. Nie wymaga zbyt wiele: rośnie zarówno na żyznej, jak i kamienistej ziemi. Najważniejsze – by było dużo wilgoci i jeszcze więcej słońca. Dlatego też można uprawiać ją praktycznie wszędzie, nawet w doniczce. Najlepiej odpowiadają jej jednak trochę parne i dobrze nawodnione śródgórskie kotliny.

Liście ma niewielkie, dwu-, trzycentymetrowe, owalne. Po wysuszeniu do złudzenia przypominają liście szczawiu. W Andach – w Peru, Kolumbii, Boliwii – rosły one od zawsze, a miejscowi ich cierpki, gorzkawy smak poznali jeszcze przed tysiącleciami. To wraz z nimi liście przywędrowały na górskie tereny z transandyjskiej dżungli; to tam jest ich ojczyzna, matecznik. Liście wędrowały z nomadami, bo zawsze – tak daleko jak tylko sięga ludzka i nadludzka (czyli plemienna) pamięć – zabierano je w drogę. Po co? Żeby żuć. Bo żując je, łatwiej i wygodniej było wędrować. Nie czuło się ani głodu, ani pragnienia.

Indiańscy czarownicy używali tej rośliny jako tajemniczej substancji, która uśmierza ból i – przerobiona na pastę – przyspiesza gojenie ran. Halucynacje, które wywoływała, gdy w dużej ilości dołożono jej do „cziczy" (indiańskiego piwa) uznawano za dowód szczególnego upodobania jej sobie przez bożków i bogów. W swoich kronikach wspominali o niej także konkwistadorzy i misjonarze (nazywając „amerykańskim czarcim zielem"). Potem – w czasach kolonizacji – zwłaszcza w rozległych latyfundiach i wysokogórskich kopalniach cyny – powoli zaczęła robić zawrotną karierę. Zauważono to, co kiedyś już zauważyli Inkowie – że żując ją wraz z odłamkami wapienia

(jak nakazuje odwieczna receptura), indiańscy robotnicy są bardziej wydajni i mniej podatni na zmęczenie.

Właśnie tym niecodziennym właściwościom koka (bo o niej tu mowa) zawdzięcza swe niezwykle burzliwe i krwawe, dwudziestowieczne dzieje. Prócz kauczuku nie ma chyba na świecie drugiej takiej rośliny, przez którą wylano by równie wiele krwi. Rzecz w tym, że przerobiona, przetworzona, przetrawiona przez odpowiednią aparaturę, jako produkt końcowy daje biały, cierpki w smaku proszek. KOKAINĘ.

Koka nie kosztuje prawie nic; kokaina kosztuje krocie. Koka, jeśli nawet jej nie posadzisz, w Andach, jak chwasty, wyrośnie sama... Podczas gdy pięć kilogramów koki kosztuje tyle, ile tygodniowe utrzymanie biednej wieśniaczej rodziny, za kilogram białego przedestylowanego już proszku otrzymujesz... fortunę. Kto czemuś takiemu się oprze? Kto – jeśli może – tego nie wykorzysta? Oto prawdziwy dylemat. Źródło morderstw, spisków, całych długich wojen.

3.

Kokaina jest krwią, ożywiającą kolumbijską gospodarkę, *vehiculum* dobrobytu, który przez ostatnie dziesięciolecie dyskretnie wsączył się do większości kolumbijskich domostw. I choć brzmi to jak herezja – jest eliksirem życia dla tutejszej gospodarki. Eliksirem, który jednocześnie jest śmiertelną trucizną.

To charakterystyczne dla Kolumbii. Przestępcza działalność kokainowych gangów przybrała tu tak duże rozmiary, że z upływem lat profity z niej zaczęło czerpać całe społeczeństwo. W większości dużych miast zginęły slumsy, na ulicach pojawiło się więcej nowoczesnych samochodów. Dodatkowe miliardy dolarów, które „nadliczbowo" znalazły się tutaj w obiegu, zdziałały prawie cuda. Stały się zarzewiem gospodarczego miniboomu,

który zlokalizowany w tym endemicznie biednym regionie, urósł do rangi czegoś, na co przywódcy sąsiednich krajów patrzą teraz z nieukrywaną zazdrością.

Na to właśnie liczyli kokainowi bonzowie, gdy procederowi, który w Ameryce Południowej egzystuje już od dziesięcioleci, postanowili nadać nową jakościowo skalę i odpowiedni rozmach. Nie, nie chcieli bawić się w latynoskich Janosików i Robin Hoodów. Motywem ich działania nie była ani chęć oddania komuś części swoich dochodów, ani zamiar stworzenia swoistego przyczynku do rozwoju myśli ekonomicznej. Rzecz jasna – chodziło tylko i wyłącznie o ogromne pieniądze, o fortuny zaliczane do największych na świecie. Zdawali sobie jednak sprawę z tego, że jeśli ułamek ich własnych dochodów trafi do obiegu, to z czasem dosłownie każda kolumbijska rodzina odniesie jakieś korzyści, a każdy Kolumbijczyk (choćby najbardziej uczciwy!) zostanie ich cichym wspólnikiem. Że doskonale będzie o tym wiedział i rząd, i wojsko, i policja. Że uprawiany przez nich proceder stanie się przez to trwalszy i jakoś milej widziany (przynajmniej w kraju). Że ci co trzeba – przynajmniej przez jakiś czas – będą patrzeć nań przez możliwie grube palce.

Przewidywania te sprawdziły się co do joty. Kokainowe ożywienie w kolumbijskiej gospodarce stało się odczuwalne mniej więcej od połowy lat siedemdziesiątych. Rozkwitało przede wszystkim budownictwo, powstawał przemysł przetwórczy, który przedtem prawie wcale nie istniał, a w ślad za tym rozszerzać się poczęły wyspy względnego dobrobytu. A że działo się to bez najmniejszej interwencji i wysiłku rządu, ten chętnie akceptował ów stan; postanowił wręcz odcinać od niego polityczne kupony. W tym sensie produkcja kokainy stała się czymś... wielce pozytywnym! Choć z drugiej strony – co zrozumiałe – czymś, czym zagranicą nie należało się zanadto szczycić...

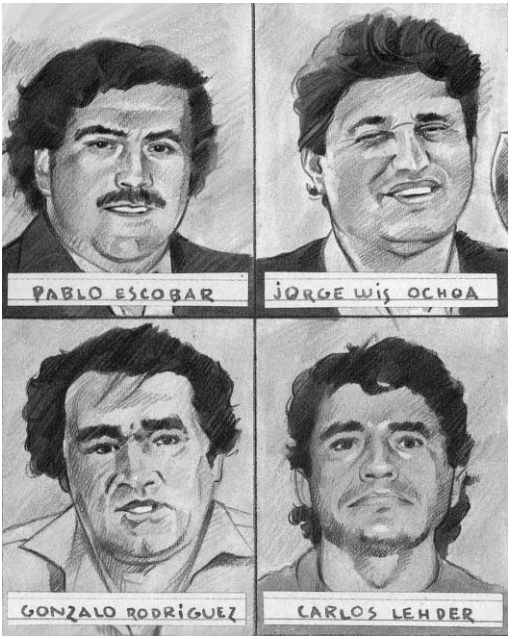

Przywódcy narkotykowego kartelu z Medellin

Na zewnątrz – w USA, w Europie – długo nikt nie uświadamiał sobie, jakie są rzeczywiste rozmiary tej podziemnej gałęzi kolumbijskiego przemysłu. Dopiero na początku lat osiemdziesiątych zaczęto sobie zdawać sprawę, jak wygląda prawda i faktyczna skala całego problemu. Po następnych dziesięciu latach mówiono już o tym głośno. Co prawda nie Kolumbijczyk, lecz Peruwiańczyk – ówczesny prezydent tego kraju, zwany także Szalonym Koniem – Alan Garcia, na antykokainowym szczycie w 1989 roku w Limie powiedział, że jeśli zagranica oczekuje, iż kraje regionu wydadzą zdecydowaną wojnę wytwórcom i przemytnikom „białego proszku", to należy je wesprzeć poprzez zmasowaną pomoc ekonomiczną. Kokainowe miliardy muszą zostać zastąpione banknotami innego pochodzenia. Inaczej nie może być mowy o podję-

ciu bardziej zdecydowanej akcji. Wszak koka i kokaina, na terenach andyjskich, to podstawa bytu milionów wieśniaków. Bez tych pieniędzy biedny region pogrąży się w jeszcze większej nędzy.

To, co wówczas w Peru lub Boliwii było kwestią nagiego przetrwania dla tysięcy, a nawet milionów wysokogórskich *campesinos*, w Kolumbii miało już całkiem inny wymiar. Nie był to już problem życia i śmierci (głodu większego lub mniej dotkliwego), lecz co najwyżej kwestia, jakiej marki samochód kupić w następnym roku. Bo choć kokainowi magnaci z Medellin byli – jak mówi kolumbijskie porzekadło – „bogatsi od General Motors, a bardziej okrutni niż Idi Amin" (to drugie dotyczy wewnątrzmafijnych porachunków lub walki z wrogami zewnętrznymi), akurat w przypadku Kolumbii – tak! – odegrali oni rolę dobroczyńców i cywilizatorów!

W Kolumbii od dawna było to oczywiste. Wystarczyło rozejrzeć się wokół, wystarczyło trochę pojeździć po kraju. Typowa publiczna tajemnica – wszyscy wiedzą, ale nikt nic głośno nie mówi. Między *narcotraficantes* Pablo Escobara[1] a politycznymi elitami przez lata istniało swoiste ciche porozumienie – *gentlemen agreement*. Potem złamały je obie strony, na dodatek prawie jednocześnie: Escobar – bo wciąż eskalował swoje niepohamowane zapędy; rząd, bo coraz większe stawały się naciski zagranicy niemogącej sobie poradzić z narkomanią.

Odejście od swoistego „pokojowego współistnienia" dało początek tak zwanej „wojnie o kokainę". Niedługo potem zginęli: Don Alberto Ruiz Reyes, Ricardo Rivas, Leopoldo Alonso, Antonio de Cuevas Ratones, Alberto Finales, Anastasio Dominguez Carajon, Marco Albinez de Carabaya i tysiące, tysiące innych.

[1] Pablo Escobar – jeden z najsłynniejszych kokainowych władców, zastrzelony przez kolumbijską policję w grudniu 1993 roku w czasie „wojny o kokainę".

Jak...? (9)

W Kolumbii miałem więcej szczęścia niż na Kubie. Nie tylko dlatego, że ostre strzelanie w kokainowej wojnie zaczęło się dosłownie na następny dzień po moim przylocie, ale przede wszystkim mój pobyt w Bogocie zbiegł się z wizytą Gabriela Garcii Marqueza. Wielki kolumbijski pisarz (autor Stu lat samotności*, noblista) od dawien dawna – uciekając przed zapędami właśnie kokainowych gangów, które jemu i jego rodzinie groziły porwaniem – mieszkał w stolicy Meksyku i do Kolumbii przyjeżdżał tylko sporadycznie. Gdy z prasy dowiedziałem się, że Wielki Gabo jest właśnie w Bogocie, drugi raz nie trzeba mi było tego powtarzać. „Oto niepowtarzalna szansa, wielka okazja" – pomyślałem i zaraz zacząłem się starać o wywiad, o osobiste spotkanie z pisarzem.*

Wiedziałem, jak się do tego zabrać. W Peru, w Limie, w okresie pracy nad książką o Sendero Luminoso, wielokrotnie spotykałem się z inną sławą latynoskiej literatury, z Mario Vargasem Llosą. Słyszałem, że Márquez zna Llosę, ale obaj się bardzo nie lubią (wielu sądzi, że dzieli ich polityka, to iż Márquez po dziś dzień wierny pozostał lewicy, zaś Vargas Llosa jest liberałem, ale to nieprawda; tak naprawdę – powiedział mi to sam Márquez – podzie-

liły ich... kobiety!). W liście, jaki pozostawiłem w recepcji hotelu, gdzie zatrzymał się Márquez, napisałem kim jestem, czym się zajmuję i że swego czasu (co było zresztą prawdą) przeprowadziłem bardzo obszerny wywiad z Mario Vargasem Llosą. Liczyłem, że ryba połknie przynętę, że zadziała poczucie konkurencji, że jednego pisarza – gdy usłyszy o drugim – lekko zakłuje żądło zazdrości.

Nie pomyliłem się. Wypróbowany trik niezawodnie zadziałał. Następnego dnia przez umyślnego poinformowano mnie, że Gabriel Garcia Márquez chętnie się ze mną zobaczy.

Było to niezwykle interesujące spotkanie. Rozmawialiśmy chyba ze trzy godziny. Na koniec zeszliśmy do restauracji i wspólnie zjedliśmy kolację. Tematów mieliśmy co niemiara – oplotkowaliśmy nie tylko literaturę, także – w związku z tym, że byliśmy w Kolumbii – kokę i kokainę. Jak się okazało, Marqueza bardzo interesował ten temat – właśnie wtedy zaczynał zbierać materiał do swojej reporterskiej książki o uprowadzeniach dziennikarzy przez kokainowe gangi – Raport z pewnego porwania. *O sprawach związanych z kokainowym przemysłem mógł rozprawiać bez końca. Przyznał, że jest to wielki temat, który nadal czeka na swojego Dostojewskiego, „... bo ktoś taki jak Tom Clancy* (myślał zapewne o książce *Stan zagrożenia*), *tak poważnemu wyzwaniu na pewno nie sprosta".*

Mówił:

- Czy dla koki i kokainy można sobie było wyobrazić lepszą glebę niż Kolumbia? Tym bardziej że od wieków istniała tu tradycja konspirowania (liczne wojny domowe, choćby te, które opisałem w Stu latach samotności*), robienia czegoś cichaczem, tradycja przemytu. Niegdyś przemycano szmaragdy, potem marihuanę, na końcu kokainę. Kokainę, nie kokę – to bardzo istotne. Bo ci, którzy zaczęli rozkręcać ten przemysł na początku lat siedemdziesiątych, wiedzieli, że jeśli chcą odróżnić się czymś od tysięcy*

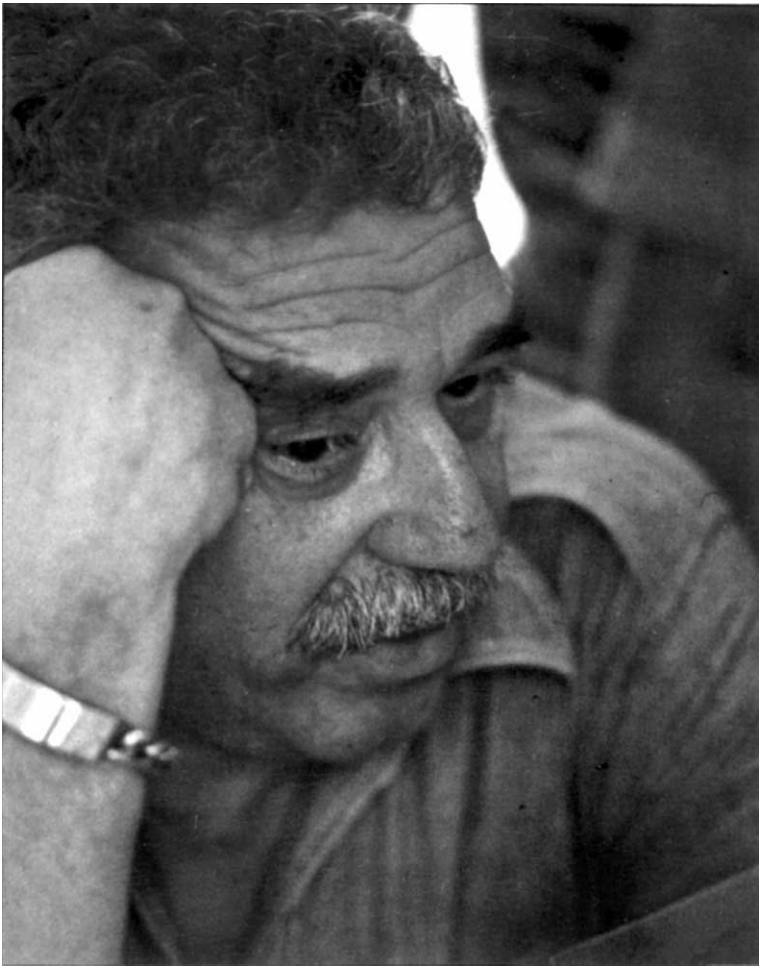

Gabriel Garcia Márquez – Gabo, Gabito

im podobnych chałupników, muszą z Kolumbii wywozić nie surowiec, lecz produkt końcowy.

- Nie radzę jednak panu zbyt dokładnie się tym interesować – powiedział na odchodnym.

Była już noc, zrobiło się naprawdę bardzo późno.

- Nie?

- Nie, bo pańska kolumbijska przygoda może skończyć się dokładnie tak samo jak na Kubie...

Byłem zdumiony! – skąd on to wiedział? Sam, obawiając się, że jako oddany sojusznik Castro odmówi mi wywiadu, nic mu o tym przecież nie wspominałem. Czyżby... – Cuban connection*?*

- Alee... – aż zająknąłem się z wrażenia.

- Nie ma żadnego ale. To zbyt poważna sprawa. Ostrzegam. A jeśli ma pan jeszcze kilka wolnych dni, to niech pan pojedzie do Barranquilla, a potem rzeką Magdaleną do Macondo. Przepraszam... – do Aracataca...

GDZIE MIESZKA PUŁKOWNIK BUENDIA?

Macondo jest wsią, której wcale nie ma. Mimo to można do niej dojechać drogą wiodącą z Cartageny do Barranquilla. Na pięćdziesiątym kilometrze szosy prowadzącej na wschód, skręcić trzeba w trakt pokryty zastygłym błotem. Stąd – droga prosta: brunatną nitką wciskającą się w zielone cielsko największego lasu świata – wciąż na południe. Jazda trwa ledwie dwie godziny. Jednak jeżeli podróżnego złapie oberwanie chmury – droga zmienia się w porywisty strumień. Od reszty świata Macondo zostanie odcięte wielokilometrową ścianą wody. Staje się nieosiągalne, nieobecne. Już przecież mówiłem: bo Macondo to wieś, której w ogóle nie ma.

Nic dziwnego, że wielu woli jazdę pociągiem. Trwa to jednak znacznie dłużej i są tacy, którzy twierdzą, że rejs taki można porównać do przemierzania oceanu w karawelach Kolumba. Pociąg jest krótki, żółty, otoczony obłokiem miałkiego kurzu. Przemierza przestrzenie pokryte wielkimi plantacjami. Wzdłuż nasypu ślimaczą się karawany wołów objuczonych kiściami zielonych bananowych półksiężyców. Około jedenastej, gdy pociąg wtacza się na stację, skwar zaczyna być nieznośny. I znów Macondo znika, ginie w tumanie. Czyż nie mówiłem? Bo Macondo to wieś, której w ogóle nie ma.

Istnieje jeszcze trzecia możliwość: podróż tratwami napędzanymi silnikiem Diesla lub indiańskim kanoe, pchanym pod prąd siłą ramion wioślarzy. Woda rzeki to kawa z mlekiem – niesie sporą część pobliskich gór, których drobiny mącą błękit karaibskiego przyboju. Sternik jest małomówny; od białych nauczył się pozy macho i przekonania, że gadatliwość to cecha próżnujących kobiet. Po dwóch dniach wytężania wzroku i omijania tańczących bruzd wirów – jest się na miejscu. Czuć zapach i oddech Wielkiej Zieleni. Nabrzeże to po prostu kilka przegniłych desek. I znów – w zasadzie nic nie widać. A jednak to tu. Bo Macondo to wieś, której w ogóle nie ma. I tylko napis na pokracznym szyldzie zdradza, że tak naprawdę miejsce to nazywa się Aracataca.

Był grudzień. Był wieczór. W powietrzu wibrowała cisza. Za chwilę osada udać się miała na spoczynek. Właśnie wtedy we wsi dowiedziano się, że zdarzył się cud.

Mieszkańcy Aracataca siedzieli rozparci w fotelach. Spoglądali w stronę kotliny wypełnionej mokradłem, zakolem rzeki i coraz bardziej zniżającym się słońcem. Jak dorodna pomarańcza ginęło za postrzępioną linią tropikalnego lasu, a oni – już z przyzwyczajenia – rozmawiali o niczym. Kto przyniósł tę wiadomość, nigdy nie udało się ustalić. Lecz po chwili wiedzieli już wszyscy: synowi ich zapomnianej wsi Gabrielowi Garcii Marquezowi – w zimnym i odległym kraju po przeciwnej stronie globu w dniu tym wręczono literacką Nagrodę Nobla.

Była to wspaniała wiadomość. Tym wspanialsza, że nikt tu na nią nie czekał. A jej zniewalający czar porównać było można do narkotyku, który w eposie o stu latach samotności, w Macondo, pojawiał się wraz z kolejnymi wizytami Cygana Melquiadesa: nadchodził z najgłębszych otchłani historii, by spokój i harmonię wsi, otoczonej zielonymi plastrami dżungli, burzyć przedziwnymi wyna-

lazkami i gigantycznymi magnesami, które wyrywały ze ścian chat gwoździe i śruby; monstrualną lupą, za pomocą której – skupiając słoneczne promienie – było można wzniecać pożary; i owym najbardziej tajemniczym – aparatem do rekonstrukcji zapomnianych wspomnień.

Tym razem wynalazkiem tym była sensacja i sława.

Począwszy od tego grudniowego wieczoru nic w Aracataca nie pozostało takie jak poprzednio. Zapomniano o śnie. Zapomniano o walkach kogutów, tańczono po biały świt. A gdy dowiedziano się, że *Sto lat samotności* – owa najsłynniejsza z powieści Marqueza o rozwoju i upadku legendarnego Macondo jest historią ich własnej wsi, uwielbienie i miłość do najsłynniejszego z ich ziomków – do Gabo, Gabito – wzrosło tak jak pęcznieje nurt pobliskiej rzeki – Magdaleny – gdy wysoko w górach topnieć zaczynają śniegi.

Listów – świadectw oddania – nie wysyłano wcale w kopertach. Pisano je na ścianach domów. Na murze otaczającym warsztat samochodowy pojawił się napis: „Aracataca – kolebka kultury, w której zrodzony został geniusz". Na blaszanym, rozpalonym słońcem ogrodzeniu jednej z farm czyjaś ręka napisała: „Na Twoją cześć uderzamy dziś w bębny całego bananowego kraju, laureacie Nobla". A na tylnej ścianie rozklekotanego autobusu umieszczono informację dla turystów: „Aracataca to literacka stolica świata".

Radował się lud, radowała się także władza. Gubernator Sara Valencia Abdala napisała w telegramie: „Pokazałeś nam na oczach całego świata, kim jesteśmy. Na twoją chwałę – Gabito – zainstalujemy nowe oświetlenie uliczne, nowe telefony i inne cuda Świętego Gabriela spod wezwania Nobla".

To była zbiorowa histeria. Właściciel najdorodniejszych kogutów – przelewających krew na owalnej, otoczonej murem z gliny arenie – najwaleczniejszego ze swych upie-

rzonych gladiatorów bez chwili wahania ochrzcił – jakżeby inaczej? – Gabriel Garcia Márquez. A następnego dnia – 11 grudnia 1982 roku – mieszkańcy prowincji Magdalena wciąż obchodzili swe wielkie święto. Na zarośnięte trawą tory wytoczona została zardzewiała lokomotywa: stare, bananowe monstrum w welonie wydobywającej się spod kół pary, odbyło najbardziej triumfalną ze swych podróży. Wielu zebranych twierdziło, że pamięta dokładnie tę samą maszynę jeszcze z czasów *Stu lat samotności*. – To on – wołali, a na myśli mieli ten pociąg, który „przywoził do Macondo tyle pragnień i nieszczęść, tyle obietnic, a jeszcze więcej klęsk".

W sumie było ich pięć tysięcy. Przetoczyli się przez całą wieś. Zatrzymali u wrót kościoła. Na ołtarzu ustawiono portret Garcii Marqueza. Grała muzyka, huczały bębny, przedstawiciel rządu prowincji rozsiadł się w fotelu na biegunach i rękoma pomocników rozdawał ciepłe, baranie kotlety. I znów – w rytmie samby, niczym w czasie karnawału na plażach Copacabana – tańczono, radowano się, ludzie padali sobie w objęcia. Wołali – Gabriel, Gabo, Gabito, największy archanioł literatury!

Tego dnia helikopter, który pojawił się nad wsią, nie był wehikułem z fabrycznej taśmy, lecz ogromną, stalową ważką. Przybyła ona w zastępstwie latających dywanów po wielekroć wspominanych w powieści: najlepszy dowód, że historia Macondo w Aracataca wciąż trwa. A Jaime Serrano – latyfundysta, który to ludzkie mrowie oglądał z wnętrza przezroczystej, helikopterowej kapsuły – na potwierdzenie, zarazem na pamiątkę jednej z postaci eposu, Mauricia Babilonia, który nigdy nie potrafił opędzić się od rojów owadzich skrzydeł, zesłał deszcz żółtych, bibułkowych motyli. Ci w dole – zdumieni – zamarli w bezruchu, potem wrzawa wzmogła się jeszcze bardziej. Łyżkami uderzono w patelnie, z głów zrywano filcowe kapelusze. Żółte motyle skrzydła wpinać zaczęto w roztańczone włosy...

Żaden z tańczących nie był *bananero* – robotnikiem z plantacji. Każdy był głową rodu bohaterskiej dynastii Buendiów. – Gabriel, Gabo, Gabito! – krzyczano głosem, którym woła się: „Evita!", którym skanduje się: „Maradona". „Iluzji nie można jeść – powie potem Gabriel Garcia Márquez. – Ale – paradoksalnie! – iluzja odżywia!"

Rzeczywiście: począwszy od dnia, w którym Márquez z rąk króla Szwecji odebrał Nagrodę Nobla, chłopi bananowej strefy, opowiadając o swojej prowincji coraz rzadziej mówią „Magdalena". Zamiast tego słyszy się: „U nas w Macondo". To samo imię noszą hotele, restauracje, kabarety i kasyna gry. To także gatunek soczystego arbuza i agencja reklamowa mogąca mówić o międzynarodowym sukcesie. To nazwa najlepszej drużyny grającej w polo. A Macondo – słowo pełne tajemniczej aury – wcale nie jest wynalazkiem Marqueza. Tak afrykańscy niewolnicy nazywali drzewa, które po dziś dzień można odnaleźć na kopulastych stokach kolumbijskiej sierry. To także hazardowa gra, w którą – podrzucając kostkę o dwunastu rogach – w tym zakątku Ameryki wieczorami gra się do upadłego.

Te kostki produkowane są tu dziś masowo. Można kupić je już nad rzeką, na drewnianym nabrzeżu. Przynoszą je umazane błotem dzieci, wyciągają garściami z kieszeni. To najlepszy znak, że to jednak wieś, osiedle, przysiółek. Że to Aracataca.

W chwilę potem pojawiają się również mężczyźni o twarzach pokrytych szczeciniastym zarostem. Cieszą się z każdej takiej wizyty. – Tędy, tędy – skwapliwie pokazują drogę do osady. Dyktatorskim głosem wykrzykują imię najbardziej świętego całej okolicy: Gabo, Gabriel, Gabito. – *You are welcome!* Chcecie zobaczyć jego dom?!

Już od wielu lat wieś cierpi na bezsenność. W wolnych chwilach gra się tu w bilard i domino, a pod wieczór –

Autor w kolumbijskim interiorze

nieodmiennie – wciąż wręcza się nobla. Wieś poci się zapachem rybiego mięsa sprzedawanego na niewielkim rynku. Wieś rozlewa piwo w duże, szybko parujące kałuże. Pije się tu bardzo dużo, wolno się trzeźwieje, by pić móc od nowa. Wieś wznosi toasty: „Niech żyje!".

- Kto?

- Ależ to oczywiste! Gabo, Gabriel, Gabito! Gabriel Garcia Márquez!

Osada składa się z głównej ulicy i siedmiu przecznic, prowadzących donikąd. Śmietankę towarzyską stanowią tu: weterynarz, który nie ma dyplomu; fryzjer, który potrafi wyrywać zęby i policjant w T-shircie i kąpielówkach. Czwarta w hierarchii jest Juanita – dziewczyna, której wizyty można składać o każdej porze dnia i nocy. Na powitanie przybyłych intonują najpopularniejszą z kolumbij-

skich pieśni o wiatraku wspomnień, smutku Aureliano Buendii i nawiedzonym Melquiadesie. Przy każdym nawrocie refrenu otwartymi dłońmi uderzają w blat stołu niczym w membranę tam-tamów. Wołają: – Sto lat, sto lat – rzecz jasna – samotności!

Wędrując z tekstem powieści w ręce, można lokalizować miejsca i rekwizyty znane z kart książki.

Na południu – pisze Márquez – *były bagna pokryte wiekową warstwą roślinności i olbrzymi świat moczarów, który, jak zapewniali Cyganie, nie miał granic. Wielkie moczary na zachodzie łączyły się z bezkresnym rozlewiskiem wody, zamieszkałym przez ssaki o miękkiej skórze, z głową i torsem kobiety*[1]. Te mokradła istnieją do dziś. Całej wsi nadają piętno fortecy otoczonej grząskim murem. Z gąbki składającej się ze zbutwiałej roślinności i szczątków zwierząt, które w jej pułapce znalazły śmierć, wyrastają grudki soli. Całe rodziny zbierają je cynowymi patelniami. Skamieniałe od starości kikuty mangrowców rozcinają bose stopy pracujących. Rany trudno się goją; krwawią jeszcze wieczorem, zostawiając ciemne plamy wśród garbów wyboistej drogi.

Dla ludzi z Macondo było nową rozrywką przebieganie wilgotnych i bez końca długich alei pod sklepieniem bananowców – opisuje dalej Márquez – *gdzie cisza zdawała się przyniesiona z innych stron i jeszcze nie używana, niczym nie zmącona, dlatego tak źle przekazywała głos. Czasami nie rozumiano czegoś, co mówiło się w odległości pół metra, a jednak doskonale to słyszano na drugim krańcu plantacji.* I dziś bananowce są wszędzie. Znalazły miejsce nawet na patio niskich, białych domów. Krew tej wsi jest bowiem żółta jak skórka dojrzałego banana. Od dziesiątków lat tubylcy dzielili losy tego żółtego owocu. *Bananeros* – kiedyś był to synonim niewolnictwa i głodu; dziś

[1] Fragmenty *Stu lat samotności* w tłumaczeniu Grażyny Grudzińskiej i Kaliny Wojciechowskiej, wg wydania trzeciego przygotowanego przez Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977.

oznacza to nędzę i lud, wśród którego w długich odstępach czasu rodzi się pisarski geniusz: taki jak on – Gabriel Garcia Márquez.

Pisze: *Młoda Mulatka z drobnymi piersiami suczki leżała nago na łóżku. Przed Aurelianem sześćdziesięciu trzech mężczyzn przeszło już dziś przez ten pokój. [...] Dom, gdzie mieszkała razem ze swoją babką, zmienił się w stertę popiołu. Od tego czasu babka jeździła z nią od wsi do wsi sprzedając ją mężczyznom za dwadzieścia* centavos, *aby pokryć stratę spalonego domu. Według obliczeń dziewczyny brakowało jeszcze około dziesięciu lat, licząc po siedemdziesięciu mężczyzn co noc, bo musiała także pokrywać wydatki podróży, wyżywienie dla nich obu i płacić pensję indiańskim tragarzom, którzy nosili fotel...* Te same obowiązki spełniała dziś we wsi wspomniana Juanita – dziewczyna o skórze koloru kasztanów. Klientów przyjmuje w drewnianej budzie, w której drzwi zastępuje perkalowa zasłona. Kolejki nie są długie. Jedynie w święta – jak niesie fama – czekać trzeba dłużej. Juanita straszy, że przeniesie się na północ, gdzie docierają jasnoskórzy włóczędzy. Miejscowi odpowiadają na to z uśmiechem: – Zostanie. Tylko straszy. Już od zawsze to powtarza...

Chętnie prowadzą do miejsc, gdzie rozgrywać się miała akcja niezapomnianej powieści. Jakby wszystkie fantazje były najoczywistszymi faktami. Jakby podróż Remedios do nieba powtarzać się mogła nieskończoną ilość razy, a problemem była tylko kwestia ceny. Przysięgają, że właśnie tu Rebeka zeskrobywała ze ścian wapno, by następnie potajemnie je zjadać. Nieopodal zaś leży cementowa płyta – ślad po alchemicznym laboratorium samego José Arcadio Buendii. Całe godziny spędzał nad nią, mieszając smalec, olej rycynowy i złote okruchy. Cytują nawet jego zaklęcia! Lecz tak naprawdę, z ręką na sercu, żaden z nich nie czytał tej książki. Znają tylko fragmenty, które raz w tygodniu, od wielu wielu lat, odczytywane są

w radiu. Nic więc dziwnego, że pod wieczór, w końcu, paść musi dyskretnie zadane pytanie:

- Czym jest to... *Sto lat samotności?*

Wielu krytyków widzi w tej książce parabolę rozwoju całej ludzkości: uliczki Aracataca miałyby być sceną, na której rozegrała się historia całego świata. Márquez oponuje: „Dzieje rodu Buendiów – mówi – to co najwyżej historia Ameryki Łacińskiej. To dzieje będące sumą niezmierzonych wysiłków i jeszcze większych klęsk. Trzydzieści dwie przegrane wojny pułkownika Buendii to metafora frustracji i nigdy niezisziczonych nadziei, to kolejna wersja odwiecznego mitu... Ponadto – ja po prostu pragnąłem namalować wizję mego dzieciństwa – obraz ogromnego domu pełnego smutku, w którym mieszkałem wraz z szesnaściorgiem rodzeństwa; z siostrą mającą zwyczaj jedzenia ziemi, z babcią przepowiadającą przyszłość i z niezliczoną ilością krewnych o jednakowych imionach, którzy nigdy nie byli w stanie zrozumieć różnicy między szczęściem a otępieniem".

La Casa – „Dom" – tak najpierw miała nazywać się ta powieść. Wiedział zawsze, że ją napisze. Po raz pierwszy zaczął nad nią pracować, gdy miał 17 lat. Przerwał już po kilku dniach i trzech bezsennych nocach. Sam mówi o tym: „Była to najprawdziwsza rzeka. Nie udawało mi się jednak nadać jej ciągłości. Z biegiem lat powstawały tylko fragmenty. Zważywszy, że miała to być powieść na planie linii prostej – coś całkiem niemożliwego do zaakceptowania".

Do dziś nie jest pewny, czy owe sto lat samotności trwa w rzeczywistości całe sto lat: do tekstu książki powracał 17 razy w ciągu 15 lat. Za każdym razem zaczynał od pierwszego zdania. Osiemnasta próba zakończyła się triumfem. Praca trwała 18 miesięcy i 9 dni. Bez przerwy. W rytmie dziesiątków wypalanych papierosów przedzie-

lanych filiżankami czarnej jak smoła kawy. Od 9.00 do 15.00 niezmiennie – jak lekarz przyjmujący pacjentów – wystukiwał na maszynie wizerunki swych bohaterów. Zużył siedem tysięcy arkuszy cienkiego 36-gramowego papieru.

Ta ostatnia z przegrywanych dotąd osobistych wojen rozpoczęła się w drodze do Acapulco. Mieszkał w Meksyku. Do koncepcji książki brakowało mu tylko rytmu i brzmienia słów, mających skłonić czytelników do wiary w to, o czym pisał. Odnalazł je w samochodzie. Jechał z żoną i dziećmi, by przez miesiąc wypoczywać na plażach Pacyfiku i właśnie wtedy uświadomił sobie, że w powieści musi tak opowiadać, jak czyniła to jego babcia, zaczynająca wszystkie historie od wspomnienia owego pamiętnego wieczoru, gdy kilkuletni Arcadio Buendia został zaprowadzony przez swego ojca do cygańskiego namiotu na drugim brzegu rzeki, by zobaczyć tam lód.

Marquezowie nie dojechali do Acapulco.

On: „Książka nigdy nie mogłaby powstać bez współudziału żony. Mercedes (to jej imię!) stanęła na wysokości zadania. Wytrzymała niewiarygodną ilość szaleństwa, przypadającego na jednostkę przestrzeni". Jej zadanie było tym trudniejsze, że oszczędności, które starczyć mogły na sześć miesięcy – w jej rękach wystarczyły na półtora roku. Że mieszkali, jedli i kupowali nieodzowny papier na kredyt, który ona potrafiła przedłużać w nieskończoność. Że co jakiś czas donosiła mu kolejny plik 500 arkuszy, z których on czerpał kartkę za kartką. Te zaś wkręcone w maszynę do pisania, najczęściej już w chwilę potem wędrowały do kosza.

Pamięta ten dzień. Kto by nie pamiętał? *Sto lat samotności* skończył pisać około jedenastej. Mercedes nie było w domu. Kolejno dzwonił do wszystkich znajomych, by powiadomić o tym zdarzeniu. Nikt jednak nie podnosił słuchawki. Był zrozpaczony. Wynajdywał sobie najróż-

niejsze zajęcia, by móc dotrwać do godziny wyzwolenia – do trzeciej, o której normalnie od półtora roku i dziewięciu dni, kończył codziennie pisanie.

Następnego dnia, gdy on jeszcze nie wiedział, że są zadłużeni na dziesięć tysięcy dolarów, ona wysłała maszynopis do wydawcy Editorial Suramericana, Buenos Aires. Pytała sama siebie: – Co będzie, jeśli powieść okaże się zła? Pocieszał ją: – Jestem pewien, że książka będzie mieć dość dobre recenzje, że sprzeda się jej – powiedzmy – pięć tysięcy egzemplarzy...

Wydawca nakład oszacował nieco wyżej. Tymczasem tylko w jednym mieście, w Buenos Aires, pierwsze wydanie rozeszło się w ciągu dwóch tygodni. Jedna z czytelniczek, chcąc przekonać się, kto jest większym szaleńcem – ona czy autor – podjęła się ręcznego przepisania całej książki. Inni – podobnie zafascynowani – zaczęli pisać listy do Macondo. Adresatem był oczywiście pułkownik Buendia.

Jego pierwowzór stanowił generał Rafael Uribe Uribe – kolumbijski bohater narodowy, który w roku 1899 zbuntował swe oddziały do powstania przeciwko rządowi konserwatystów. Sam Márquez nigdy go nie widział. Opowiadała mu o nim babka: Uribe Uribe na czele powstańczej armii dotarł do Aracataca i zatrzymał się wraz z weteranami wojny w biurze jego dziadka. Przez dwa długie dni pito tam piwo, a gdy w tydzień potem cała wieś żegnała słynnego przywódcę, ona – babka pisarza – była przekonana, że udało się jej rozwikłać tajemnicę nękającej Uribe Uribe samotności. Miał nią być – co jej usta określiły jako „chorobę przyszłości" – brak miłości; fakt że generał ten nie był w stanie nikogo pokochać.

Dla niego, słyszącego tę historię nieskończoną ilość razy, stała się tematem całego życia, nicią przewodnią wszystkich książek. „Prawdziwy pisarz przez całe życie tworzy jedną książkę, która dzieli się na wiele tomów no-

szących różne tytuły – stwierdza. – Ja – od chwili gdy po raz pierwszy usłyszałem opowieść o generale Uribe Uribe – piszę epopeję samotności".

W pierwszej jego książce – *Szarańczy* – główny bohater żyje i umiera w absolutnym odosobnieniu. W *Nikt nie pisze do pułkownika* zasłużony weteran wraz z żoną i kogutem co tydzień oczekują na nadejście pensji, która – jak łatwo się domyślić – nigdy nie nadchodzi. W *Złej godzinie* – burmistrzowi nie udaje się pozyskać zaufania mieszkańców miasta; coraz bardziej pogrąża się w samotności władzy. To samo dzieje się z Buendią w *Stu latach samotności* i z dyktatorem z *Jesieni patriarchy*.

On: „Jest to problem uniwersalny. Jako pisarza interesuje mnie samotność absolutna – ten jej rodzaj, którego się doświadcza nad czystą kartką papieru. W Ameryce Łacińskiej problem samotności stapia się z zagadnieniem sprawowania władzy, co czyni go bardziej atrakcyjnym. Podążając w którymkolwiek kierunku, nie sposób uciec przed tym tematem".

Właśnie dlatego – tak jak zawsze – był już pewny, że napisze *Sto lat samotności*, czuł wewnętrzne przekonanie, że powstanie *Jesień patriarchy*. Bo – w rzeczywistości – to drugi wariant *Stu lat samotności*. Buendia z Macondo ponosi klęskę, przegrywa 32 wojny. Patriarcha z *Jesieni...* to Buendia, który odniósł sukces – przejął władzę i zamieszkał w pałacu. Punktem wyjścia tej książki była następująca wizja: samotny starzec-dyktator rządzi w fortecy otoczonej zewsząd puszczą; jego podwładnymi są prychające wieprze. A przyjaciel Marqueza – generał Omar Torrijes – na 48 godzin przed śmiercią powie mu: „My, ludzie władzy, jesteśmy dokładnie tacy jak napisałeś".

Ta siostrzana książka *Stu lat samotności* powstawała 18 lat. Bywały tygodnie, że dopisywał do niej trzy słowa; miesiące – że przybywała jedna linijka. Czytał biografie dyktatorów. Był nimi oczarowany. Wieczorami przyjacio-

łom opowiadał niektóre z przeczytanych epizodów. „Papa Doc" z Haiti rozkazał zabić wszystkie czarne psy zamieszkujące wyspę, bo – jak uważał – jeden z jego politycznych przeciwników, chcąc uniknąć aresztowania, zmienił się w... czarnego psa! Maximiliano Hernando Martinez z Salwadoru wynalazł wahadełko, które zawieszone nad talerzem wskazywało, czy jedzenie jest zatrute. Juan Vincente Gomez wierzył, że potrafi przepowiadać przyszłość. Generał Stroessner rozkazał uszyć żyrandole z czerwonego papieru, które nakładano na uliczne latarnie po to, by skuteczniej móc zwalczać epidemię odry...

W *Jesieni patriarchy* Márquez pozwolił sobie na eksperymenty ze składnią, interpunkcją, czasoprzestrzenią i historycznymi realiami. „Spośród wszystkich moich książek – mówi – ta jest najbardziej nowatorska; praca nad nią stanowiła ogromną przygodę poetycką". Przykład: pewnego dnia zaraz po przebudzeniu dyktator zostaje powiadomiony, że obcy przybysze demoralizują okoliczną ludność, otwiera okno i widzi nadpływającą z daleka flotyllę Kolumba, w porcie zaś, przycumowana, kołysze się na falach amerykańska kanonierka; na jej pokładzie stoją poustawiani w dwa szeregi *marines*...

Podobnie dzieje się z geografią: kraj, w którym mieszka dyktator, jest krainą karaibską. Márquez zna wszystkie wyspy basenu. „Każdą z nich umieściłem w tym kraju"- przyznaje: dom publiczny, w którym mieszkał w Barranquilla, Cartagenę z czasów studenckich, tawerny portowe, gdzie niegdyś zwykł był jadać na Arubie, ulicę Calle de Comercio z Panamy, zaułki starej Hawany, także Brytyjskie Antyle z Hindusami, Chińczykami i Holendrami. On: „To jedna z tych książek, która kiedyś może uchroni mnie od zapomnienia".

Wielu twierdzi, że klucz zagadki *Stu lat samotności* odnaleźć można tu – w Aracataca.

Aracataca to przede wszystkim ten ogromny dom. Do dziś stanowi on nieodłączny motyw wszystkich jego snów. Nie opuścił on go nawet w Sztokholmie, jesienią 1982 roku, w przededniu wręczenia literackiej Nagrody Nobla: On – Gabo, Gabito – nie tyle powraca doń, co po prostu wciąż w nim jest: bez wieku, bez specjalnego powodu, jakby nigdy nie dane mu było wyjść na ulicę; wciąż tkwi pogrążony w starości i ogromie tych ścian...

Spędził w nim pierwsze osiem lat życia. Każdy jego zakątek krył duchy umarłych, wspomnienia, legendy i tajemnicze zaklęcia. Wieczorami, po godzinie szóstej, nikomu nie było wolno wychodzić na korytarz. Mówi: „Był to przedziwny świat pełen przerażenia, świat, w którym rozmowy prowadzono tylko szeptem". Na pierwszym piętrze znajdował się niezamieszkany pokój, w którym przed laty zmarła ciotka Pedra. W innej izbie – po przeciwnej stronie – pożegnał się niegdyś z życiem stryj Lazaro.

Nocą w domu tym było więcej duchów niż żywych, oddychających ludzi...

Gdy miał 19 lat przeczytał *Przemianę* Kafki – jej pierwsze zdanie, z którego wynikało, że pewnego ranka, budząc się z niespokojnego snu, Gregor Samsa spostrzegł, że zmienił się w ogromnego owada. *Coño* – pomyślał – *asi pues contaba mi abuela!*[1]

Jego poczucie czasu w jednej chwili uległo całkowitej transformacji. W ułamku sekundy poczuł to, co za lat kilkanaście stać się miało procesem powstawania i rozpadu Macondo. Mówi: „Gdybym wtedy nie przeczytał tego zdania, dziś byłbym autorem całkiem innych książek. Nie byłoby ani *Jesieni patriarchy*, ani *Stu lat samotności*".

Lecz magiczne korzenie to tylko część rozwiązania zagadki.

Bo Macondo to nie tylko miejsce jakby wyjęte z mitologii. „Na przykładzie tej wsi – mówi Mario Vargas Llosa –

[1] Coño... – (hiszp.) do diabła, tak przecież opowiadała moja babka!

prześledzić można proces rozwoju i upadku całych społeczeństw. *Sto lat*... odmalowuje los każdej cywilizacji. To obraz rozwoju większości społeczeństw Trzeciego Świata. Akcję książki można speriodyzować. Można odkryć prawa rządzące każdym z okresów. Reszta to literackie »mięcho« – artystyczne środki, które całości nadać mają walory ponadczasowości. W rzeczywistości liczy się tylko kościec powieści".

Oto i on:

Zaraz po założeniu przez José Arcadio Buendię Macondo jest samowystarczalną, arkadyjsko-patriarchalną wspólnotą, w której panuje równość i sprawiedliwość. To wieś o dwudziestu domach z gliny i bambusa. Wieś tak młoda, że dla wielu rzeczy brak jeszcze imienia: miniświat, w którym zakazane są nawet walki kogutów. Życie w Macondo jest idyllą, w której codzienność nie zdążyła jeszcze zostać skażona śmiercią. Żaden z mieszkańców nie przekroczył trzydziestego roku życia. Nikt nie umarł. Nikt nie pyta, co się znajduje poza granicami wsi. Słowem – Macondo bierze udział w prehistorii.

Głęboka przemiana zachodzi w chwili, gdy Urszula odnajduje ścieżkę pośród otaczających wieś bagien. To pierwsza nić, łącząca Macondo ze światem. To szlak, którym przybywa druga fala emigrantów. Wreszcie – to ścieżka, wprowadzająca tę osadę do historii. Z rolniczej wspólnoty wieś zmienia się w osiedle właścicieli manufaktur i warsztatów. Mieszkańcy Macondo zaczynają trudnić się handlem i rzemiosłem. Rozpadowi ulega rodowa struktura społeczności – we wsi pojawia się sędzia, policjant i proboszcz. Rodzi się przemysł – wzniesiona zostaje fabryka największego cudu natury – lodu.

Drugi przełom następuje wówczas, gdy wieś zostaje skolonizowana przez amerykańską spółkę bananową. Rozpoczyna się współczesność. Banany przynoszą nową pracę, nowe bogactwa, namiętności i pasje. Rzemieślnicy

wędrują na plantacje, kupcy pełnią rolę nadzorców. Wieś zmienia się w małe miasteczko, pojawiają się rzesze nowych, nikomu dotąd nieznanych twarzy. Oddziały policji wyparte zostają przez zabijaków uzbrojonych w maczety. Konflikty zaostrzają się, napięcie wzrasta. Robotnicy rozpoczynają strajk i zostają zmasakrowani przez wojsko.

Ostatni okres w historii Macondo rozpoczyna się od katastrofy – od potopu. Wraz z nim ginie to, co było źródłem krótkotrwałego bogactwa. Osada zostaje opuszczona. Ci, którzy pozostają, odnajdują wokół siebie krajobraz po bitwie, zapomnienie i nędzę. Miasto znów jest wsią. Przykrywa je czapa z kurzu i tropikalnego skwaru. Rozpad i upadek stają się faktem.

W rzeczywistości jest to historia Aracataca.

Podbój na dobre zaczął się tu dopiero przed stuleciem. Niczym hiszpańskie fregaty i korsarskie okręty Sir Francisa Drake'a, przez „spienioną nieskończoność szarego jak popiół morza" na karaibskie wybrzeże przybyli konkwistadorzy z północy. To Fruit Company z Bostonu: kupowano ziemię, rekrutowano robotników. Tak jak w innych krajach szerzyła się gorączka kawy, kauczuku i trzciny cukrowej, w Macondo... przepraszam – w Aracataca rozpoczął się bananowy boom.

Można było odnieść wrażenie, że legenda o El Dorado – Złotym Królu i mieście z żółtego kruszcu – obróciła się w rzeczywistość. Aracataca rozrastało się. Bogactwem koloru złota stała się bananowa kiść. Robotnicy na plantacjach dbali o profity „Yunai" – United Fruit. Damy z towarzystwa w chmurze perfum, w rytmie klawikordu, dzień spędzały w salonach. Tańcząc *cumbię*, zamiast – jak kazał zwyczaj – trzymać w rękach żarzące się świece, zapalano kilkudolarowe banknoty.

Wszystko musiało być europejskie. Z Francji sprowadzano tapety, z Wenecji – zwierciadła, koronki – z Brukseli. Tango tańczono przy dźwiękach niemieckiego akorde-

onu. Powstała niepowtarzalna mieszanka z pudru, perfum, karnawału i kolonializmu. Urządzano party i wyścigi zaprzęgów na torze utworzonym w miejscu wykarczowanej puszczy. Nocą załatwiano porachunki, od czasu do czasu słychać było rewolwerowe strzały. W roku 1924 dziennik „El Pais" donosił: „Mieszkańcy Aracataca spać muszą z pistoletem pod poduszką".

„Yunai" wgryzało się w głąb tropikalnego lądu. Pochłaniało hektar za hektarem, farmę za farmą. Wkrótce stało się właścicielem połowy wszystkich *fincas*[1] położonych wokół miasta, które dziś jest ledwie wsią. Komu brakowało pieniędzy, oddawał w zastaw swój dom. Szczegóły skwapliwie zapisywano na opieczętowanym papierze. *Carta de esclavitud* – świadectwo niewolnika – tak w dzielnicach nędzy wymieszanej z pleśnią nazywano te umowy, podpisywane krogulczym pismem.

Bananowa wojna wybuchła jesienią 1928 roku. Był to pierwszy strajk generalny w historii Kolumbii. Robotnicy wyrwali szyny z podkładów, pociąg zatrzymał się i bezradnie tkwił na szczycie nasypu. 5 grudnia dwadzieścia tysięcy *bananeros* uzbrojonych w maczety ruszyło ku miastu Cienaga. Tam już na nich czekano. Seria z karabinów maszynowych była przeciągła i groźna – jej urywane grzmoty trwały w sumie kilka godzin.

Bunt zaczął się załamywać dopiero wtedy, gdy miało się już ku zachodowi słońca.

Następnego dnia w Cienaga panowała cisza. Ciała zabitych jeszcze w nocy pogrzebano w głębokim dole. Pozostałe trupy wywieziono na brzeg morza i karmiono nimi rekiny. Ilu *bananeros* poniosło śmierć, tego do dziś nikt nie wie. „W Ameryce Łacińskiej zapomina się o tysiącach zabitych, gdy zechce tego odpowiednia ustawa" – mówi Gabriel Garcia Márquez.

O tamtej masakrze także zapomniano. Cały rok 1928 – rok, w którym pisarz przyszedł na świat – wykreślono

[1] fincas – (hiszp.) posiadłości ziemskie.

z historii. Jak kartki z brudnopisu – dzień po dniu wyrwano z ludzkiej pamięci. Wydarzenia te odżyły dopiero w *Stu latach samotności*, których bohaterowie – przypadek? – walczą z plagą zapomnienia.

United Fruit w popłochu opuściło tropikalną krainę. W Aracataca wybiła godzina upadku. Lot w przepaść trwał nie dłużej niż życie jednej generacji. Na dnie otchłani pozostały migdałowe drzewa, moskity i pordzewiałe, pokrzywione tory.

Dziś miniony złoty wiek przypomina gmach z białego marmuru na rynku w miasteczku Cienaga. Niegdyś – symbol podboju, obecnie świadectwo zapomnienia. Złocone ramy i schody z kremowego kamienia nadgryzła morska sól. Przed laty właśnie tu pito poncz i najsłodsze, importowane likiery.

Cień tego, o czym kiedyś mówiono *glamour*, odnaleźć można w chatach wsi stojących na palach. Cień wyrasta wprost z mokradła: któż dałby wiarę? – na zewnątrz roją się moskity, w środku Florencja, Paryż i fotele w stylu Ludwika. Świeczniki z brązu, na ścianach ślady drogiej tapety. Piękny choć stary świat. Dziś w strzępach.

Także *Nueva Venecia* nie jest dziś tym, czym była przed laty. Rozkwit trwał jedynie krótką chwilę. Nauczyciel opuścił szkołę, bo od roku nie wypłacano mu pensji. Kościół – choć tak długo nieużywany – zużył się sam doszczętnie. Nad głową *Virgen del Carmen* – świętej rzeźby – zwisają całe grona nietoperzy. W zakurzonej ciszy usłyszeć można: „Popatrz! Wyglądają jak kurczaki z rożna!".

Mangrowe gaje: kiedyś siedlisko małp i papug, które – ponoć – „trzaskającym głosem potrafią opowiadać legendy", dziś... Kilka lat budowano betonową tamę. Kanalizowano rzeki, by skuteczniej nawodnić plantacje. Kilometrami umierały wielkie drzewa o korzeniach jak pozwijane węże. Pozostał szkielet – tysiące kikutów jak kości di-

Do widzenia Macondo! Do widzenia Aracataca!

nozaurów wśród piasku pustyni. Zgnilizna nie urodzi poezji, co najwyżej – chorobę. Oczywiście – i na szczęście! – są wyjątki!

Prócz tego, że na świat przyszedł tu Gabriel Garcia Márquez, od czasów wielkiej masakry właściwie nic nie zmieniło się w Aracataca-Macondo. Kraj ten – jak zawsze – przemierzają karawany wagabundów: nieodmiennie, tak jak czynił to Cygan Melquiades, z gąszczu nadchodzą wróżbici i zaklinacze chorób. Na rynku w Cienaga siedzi Pedro – wąsacz handlujący szczęściem, amuletami i ziołami wzmagającymi potencję. W sklepie, który jest przepastnym workiem zawieszonym na wypukłym brzuchu, mieści się magiczny róg obfitości: zęby tapira podwyższające zapał do pracy, kłosy traw chroniących przed kulami lepiej niż pancerna szyba i czosnek skuteczny – jak mówią – na każdą okazję.

Jeszcze w sumie nie tak dawno, 17 sierpnia 1982 roku, w lokalnym dzienniku „El Caribe" rodzina należąca do establishmentu północnego wybrzeża następującymi słowy i grubą czcionką prosiła o to, by nie strzelać do jednego z jej krewnych: „Kiedy zobaczycie dzikiego kota, najprawdopodobniej jest to nasz wuj. Przed pół wiekiem został on zamieniony przez czarownika w pumę. Od tamtej pory, co dnia, drżymy o jego życie".

Wsiadam do łodzi. Opuszczam Macondo, za plecami pozostawiam Aracataca. Tym razem płynąć będziemy szybko, bo z prądem.

Znad burty przez kilka godzin, które pozostały do zachodu słońca, mogę obserwować brzeg. Chcę wypatrzyć wśród gąszczu dzikiego kota – protoplastę dostojnego rodu. A jutro Aracataca znów na kilka godzin zniknie z powierzchni ziemi. – Wkrótce spadnie gwałtowny deszcz – mówi meteorolog. Ma brodę, druciane okulary i naszyjnik z zębów piranii. Dwa zakręty rzeki na północ wskoczył do sunącej z całym impetem łodzi. Teraz szuka miejsca wśród ciasno poustawianych koszy i klatek z gderliwym drobiem.

Płyniemy.

Czy przed następną wyprawą... zdążę dopłynąć do domu?

Udało się. Zdążyłem. A teraz znów za chwilę mam wyruszyć w drogę.

Dokąd dotrę tym razem?

Tam gdzie chcę, czy całkiem gdzie indziej?

Czy uda mi się zrobić to, co zamierzam, czy może nie, i będę musiał obyć się smakiem?

Czy to, co się stało – oberwana półka! – to znak, zwiastun, omen, czy może domiar złego, który przyjąć trzeba z pokorą, a nawet... z radością (z wdzięcznością?), bo znaczy, że to co niedobre mam już za sobą na samym początku, a dalej – w selwie, w puszczy, w dżungli – wszystko pójdzie już na medal, jak z płatka?

Dotrę na płaskowyż?

Natknę się na monstrum pułkownika Fawcetta?[1]

Choć przez moment, choć przez zbity gąszcz, ujrzę blask legendarnego El Dorado?

Na razie nie wiem, co robić. Sytuacja bardziej niż groteskowa! Co za początek!

CO TERAZ?

Ostatnim rzutem na taśmę – mimo klaksonów taksówki, która już przyjechała i czeka! – pozbierać jeszcze teraz szybko to, co w popłochu pospadało i próbować jakoś to uładzić, poukładać, czy może raczej zostawić – niech sobie poleży? Uporządkuję wszystko dopiero za trzy, cztery ty-

[1] Percy Harrison Fawcett, brytyjski geodeta, wojskowy i niestrudzony poszukiwacz zaginionych miast twierdził, iż wielokrotnie w południowoamerykańskiej puszczy widział nieznane zwierzęta, które określał mianem monstrów.

godnie, po powrocie, gdy do *pasamontani*, statuetki przedstawiającej skrzydlatych ludzi z Nazca, strzał z kurarą, dmuchawek, masek, grzechotek i kamieni z Ica będę mógł dołożyć nowe rekwizyty?

Dopiero wtedy nabierze to sensu – i może nie trzeba już będzie się głowić, jak to wszystko poukładać?

Boliwia, Kolumbia, Kuba, Peru - kraje Ameryki Łacińskiej, o których jest mowa w książce

O AUTORZE

Roman Warszewski urodził się w 1959 roku w Elblągu. Mając kilkanaście lat, zainteresował się paleografią i prowadził badania porównawcze nad pismem rongo-rongo z Wyspy Wielkanocnej i systemami zapisu graficznego starożytnego Peru. Studiował handel zagraniczny na Uniwersytecie Gdańskim, następnie prawo i integrację europejską na Uniwersytecie Saarlandzkim w Niemczech oraz w Instytucie Europejskim we Florencji. Był pracownikiem naukowym Uniwersytetu Gdańskiego, specjalizującym się w zagadnieniach integracji europejskiej. Pierwsze kroki jako dziennikarz i reporter stawiał na łamach „Studenta", „Czasu", publikował także w „Polityce", „Przeglądzie Powszechnym", „Odrze", „Radarze" i „Literaturze". Zna kilka języków obcych, w tym narzecze keczua z sierry Ekwadoru, Peru i Boliwii. Był stypendystą fundacji German Marshall Fund oraz Komisji Wspólnot Europejskich. Jest autorem książek reportażowych: *Pokażcie mi brzuch terrorystki* (Nagroda Młodych miesięcznika „Literatura"), *Inicjacja* (nagroda Funduszu Literatury oraz Nagroda im. Wyspiańskiego), a także zbioru opowiadań *Pajęczyna*. Pracował w redakcjach „Dziennika Bałtyckiego", „Głosu Wybrzeża" i „Ilustrowanego Kuriera Polskiego". Stale współpracuje z miesięcznikiem „Nieznany Świat", pod którego patronatem w 1998 roku zorganizował wyprawę na płaskowyż Marcahuasi w Peru. Za cykl reportaży z tej wyprawy otrzymał nagrodę Ambasady Republiki Peru w Polsce.

W roku 1999 wraz z Grzegorzem Rybińskim napisał książkę *Vilcacora leczy raka* i – samodzielnie – *„Bóg nam zesłał vilcacorę"*; obie książki – z uwagi na szeroki rezonans, z jakim się spotkały – stały się wydarzeniem na polskim rynku wydawniczym. Jest też autorem scenariuszy i realizatorem dokumentalnych filmów telewizyjnych na tematy związane z Ameryką Południową.

SPIS TREŚCI

Przedmowa 5
*** 9
Skrzydlaci ludzie z Nazca 11
Jak to poukładać? (1) 25
Osiem tez, osiem gwoździ 29
Jak to poukładać? (2) 35
Zakątek śmierci 37
Jak...? (3) 44
Podniebne mumie z andyjskich szczytów 47
Jak...? (4) 55
Jezioro tajemnic 59
Jak...? (5) 66
Orchidee i kondory 69
Jak...? (6) 89
Czy przechodził tędy Che? 91
Jak...? (7) 106
Osaczony 109
Jak...? (8) 113
Wojna o kokainę 115
Jak...? (9) 122
Gdzie mieszka pułkownik Buendia? 126
*** 146
O autorze 149